

## „Buńczuk” w Gdańsku

Nasz tatarski „Buńczuk” – pod opieką swej niestrudzonej założycielki i opiekunki Haliny Szahidewicz – wystąpił 18 maja 2011 roku w gdańskim kościele św. Jana. Odbył się tam uroczysty koncert dla uczczenia pamięci polskiego papieża Jana Pawła II, będący też podziękowaniem za jego szybką beatyfikację. W spektaklu, zatytułowanym „Jeden Drugiego brzemia noście...”, obok „Buńczuka” wystąpiły m.in. ze-

spoly: „Cukunft” z Warszawy, Harfa Gospel Choir z Kwidzyna, Schola Cantorum Gyvevensis z Gniewu, Kaszubski Zespół Folklorystyczny z Brus, a także soliści. Koncert wspierany był przez marszałka Województwa Pomorskiego Mieczysława Struka, Duszpasterstwo Środowisk Twórczych oraz Nadbałtyckie Centrum Kultury.

(skł)

## Tatarzy w „Dworze Polskim”

18 maja br. we wrocławskim „Dworze Polskim” odbyło się spotkanie pt. „Tatarzy polscy - wczoraj i dziś”. Jego organizatorką była Olga Demczuk, prezes Stowarzyszenia Edukacyjnego „Wieża Babel”, z ogromnym entuzjazmem propagująca działania międzykulturowe i międzywyznaniowe. Tym razem gościła Musę Czachorowskiego, członka Najwyższego Kolegium Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP i Związku Tatarów RP, redaktora naczelnego „Przeglądu Tatarskiego” i „Muzułmanów Rzeczypospolitej”.

Na sali zebrało się kilkadziesiąt osób, co ciekawe – w ogromnej większości kobiet. Miło, że tak bardzo zainteresowała je tematyka tatarska. Byli m.in. Dariusz Tokarz – pełnomocnik wojewody dolnośląskiego ds. mniejszości narodowych i etnicznych, Dorota Kozak-Rybska z wrocławskiego Centrum Informacji i Rozwoju Społecznego, Mariola Abkowicz – przewodnicząca Związku Karaimów Polskich. Zjawili się także przedstawiciele wrocławskich Tatarów: Maciej Korycki oraz Barbara Ziemia i Leila Zdrzyńska – obie panie z rodu Koryckich. W bardzo sympatycznej atmosferze spotkania Czachorowski opowiadał o historii i teraźniejszości polskiej społeczności tatarskiej. Odpowiadał również na liczne pytania, a później jeszcze toczyły się ożywione rozmowy.

Inf. wł. PT, Fot. Wieża Babel



Musa Czachorowski i Olga Demczuk rozmawiają o Tatarach



Od prawej: Barbara Pawlic-Miśkiewicz oraz Anna, Selim i Emilka Mucharscy

## Tatarska wystawa w Białymstoku

25 maja 2011 roku w białostockim Muzeum Historycznym otwarta została wystawa obrazów Elwiry Sobolewskiej-Waliszewskiej „Meczety na ziemiach Polski, Litwy i Białorusi”, będąca elementem obchodów 85-lecia Muzułmańskiego Związku Religijnego w Rzeczypospolitej Polskiej. Jubileusz objął Patronatem Honorowym Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski. Wśród obecnych na otwarciu byli m.in. Mufti RP Tomasz Miśkiewicz z małżonką Barbarą Pawlic-Miśkiewicz, przewodnicząca Muzułmańskiej Gminy Wyznaniowej MZR w Białymstoku Halina Szahidewicz, członkowie Najwyższego Kolegium MZR: Róża Bogdanowicz, Mierjema Chalecka-Gembicka i Adam Świerblewski z żoną Lillą Świerblewską, przewodniczący Rady Centralnej Związku Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej Jan Adamowicz oraz Anna, Krzysztof, Emilka i Selim Mucharscy.

Tatarska artystka utrwaliła na płótnach unikalną architekturę muzułmańskich meczetów niegdysiejszej Rzeczypospo-

litej, z których wiele dzisiaj już nie istnieje, część natomiast znajduje się poza polskimi granicami. „Na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej było 17 tatarskich meczetów i dwa domy modlitwy” – powiedziała podczas uroczystego otwarcia wystawy dyrektor muzeum, Lucyna Lesisz. „Głównie jest to architektura drewniana. Są podobne do kościołów i cerkiewek, niektóre tylko mają nieco inną, orientalną architekturę. Te meczety

mają klimat naszych Kresów i widać, że autorka włożyła wiele serca w tworzenie swoich obrazów”.

Obrazy, stanowiące prywatną kolekcję Muftiego RP Tomasa Miśkiewicza, oglądać można było do końca czerwca br.

(skł)  
Fot. Krzysztof Mucharski

## „Dzień Dziecka” w Bohonikach

29 maja 2011 r. w Bohonikach odbył się tradycyjny już festyn pod nazwą „III Tatarski Dzień Dziecka w Bohonikach”. Około godz. 10,30 przewodnicząca Muzulmańskiej Gminy Wyznaniowej Bohoniki w imieniu organizatorów powitała serdecznie przybyłych na festyn gości, dzieci oraz rodziców i przedstawiła program imprezy. We wstępnej fazie festynu, z uwagi na opady deszczu, odbyły się występy artystyczne dzieci z Przedszkola Państwowego Nr 4 w Sokółce w sali konferencyjnej Domu Pielgrzyma w Bohonikach. Występ przedszkolaków bardzo się podobał licznie zgromadzonemu widzom. Wszyscy młodzi artyści z przedszkola otrzymali drobne upominki z okazji Dnia Dziecka od organizatorów festynu. Przez cały czas festynu występował zespół muzyczny z Sokółki. Dzieci i młodzież chętnie zapoznali się z wyposażeniem i metodami pracy żołnierzy Straży Granicznej. Przez cały okres trwania festynu, od godz. 10,00 do godz. 18,30, dzieci i młodzież bardzo chętnie korzystali nieodpłatnie z atrakcji sportowo-rekreacyjnych przygotowanych przez specjalistyczną firmę (batut, zjeżdżalnia duża, basen z piłkami, euro-bungee). W trakcie trwania festynu nauczyciele z Oddziału Białostockiego Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów i Animatorów „Klanza” przeprowadzili szereg działań animacyjnych pt. „Zabawy z Klanzą” dla dzieci i młodzieży z wykorzystaniem metod pedagogiki zabawy. Działania te cieszyły się bardzo dużym zainteresowaniem ze strony dzieci i młodzieży. Organizatorzy nieodpłatnie rozdawali wszystkim uczestnikom festynu tatarskie potrawy. Zabezpieczono możliwość konsumpcji innych potraw tradycyjnej kuchni tatarskiej, takich jak: pieriekaczewnik, kułduny, halwa, czebureki i inne. Była również możliwość zakupu lodów, napojów chłodzących, gier, zabawek itp. Wszyscy zainteresowani mogli korzystać z możliwości zwiedzenia Mizaru w Bohonikach z udziałem przewodnika z Zarządu Gminy Bohoniki. Przez cały okres trwania uroczystości, w chwilach wolnych, była emitowana muzyka regionalna polska i tatarska. Program rekreacyjny dla dzieci i młodzieży przygotowała specjalistyczna firma: „Skokland” z Białegostoku. Realizacja festynu w Bohonikach przyczyniła się do pogłębienia integracji wyznawców różnych religii i narodowości, do integracji kultur chrześcijańskiej i muzulmańskiej, współistniejących od ponad 330 lat na tych ziemiach. Jednocześnie był to wspaniały wkład wnioskodawcy w promocję kultury tatarskiej i jej zabytków w Polsce. Ponadto był to wspólny dzień edukacji, relaksu i czynnego odpoczynku dla dzieci, młodzieży i ich rodziców. Z wielką przyjemnością odnotowaliśmy fakt uczest-



nictwa w festynie dzieci i młodzieży różnych narodowości i wyznań z wielu powiatów woj. podlaskiego oraz dzieci i młodzieży tatarskiej z Bohonik, Białegostoku, Sokółki, Suchowoli i Dąbrowy Białostockiej oraz osób dorosłych z różnych rejonów kraju. W ocenie uczestników uroczystości był to bardzo ciekawy i pouczający festyn, który powinien być realizowany w Bohonikach corocznie.

Tekst i fot: [www.bohoniki.eu](http://www.bohoniki.eu)

*Lukasz Węda*

## Sabantuj w Kruszyńnianach

Wczesnym rankiem w blasku słońca 29 maja 2011 roku wraz z bratem Mirkiem i Sławkiem Hordejukiem ruszyliśmy ze Studzianki na zaproszenie Dżennety Bogdanowicz do Kruszyńnian. Im bliżej byliśmy „Tatarskiej Jurty”, tym bardziej niepokoił nas deszcz; zachmurzone niebo rodziło obawy o sabantuj. Na miejscu okazało jednak, że tatarskie święto odbędzie się bez przeszkód. W organizacji imprezy Dżenneta Bogdanowicz wspomagał Departament Rolnictwa i Obszarów Rybackich wspólnie z Departamentem Współpracy z Zagranicą i Promocji Urzędu Marszałkowskiego Województwa



*Chwila koncentracji przed jedzeniem jecz-poczmaków na czas*

Podlaskiego w Białymstoku. Kruszyńniany swoją obecnością zaszczyliła Elżbieta Radziszewska – pełnomocnik rządu do spraw równego traktowania, wicemarszałek Województwa Podlaskiego i wojewoda podlaski. Przybyłych znajomych i ich znajomych było tylu, że aż trudno wymienić. Zjawili się władze samorządowe gminy Krynki i powiatu Sokółka. Była przewodnicząca białostockiej gminy wyznaniowej MZR Halina Szahidewicz, członkowie Najwyższego Kolegium MZR Rozalia Bogdanowicz, Adam Świerblewski i Musa Czachorowski, Emina Ragipowicz z synem Alim – przedstawiciele diaspory bośniackiej, delegacje z Warszawy, Pomorza oraz innych części kraju.

Sabantuj w języku tatarskim oznaczał święto pluga. Łączy ono w sobie misterium prac rolnych oraz piękne zwyczaje, tańce oraz śpiewy narodu tatarskiego. Na coroczne spotkania sabantujowe licznie przybywa do Kruszyńnian społeczność tatarska, a także turyści z całego kraju. Sabantuj rozpoczęła modlitwa intencyjna o pokój i sprawiedliwość na świecie w miejscowym meczecie. Ta unikatowa muzułmańska świątynia oraz mizar są miejscami, które obowiązkowo należy odwiedzić. Podczas spotkania z Tatarami można porozmawiać z spotkanymi gośćmi o tożsamości, przeszłości i tatarskiej tradycji. Oczywiście, atrakcją było całe mnóstwo. Liczne kramy m.in. z wyrobami tradycyjnego rzemiosła, biżuterią, artykułami spożywczymi. Dla smakoszy przygotowano degustację potraw kuchni tatarskiej. Do woli można było strzelać z łuku i rzucać oszczepem. Nie zabrakło koni, pokazów i zwiedzania jurty. Wystąpiły zespoły, m.in. tatarski, czeczeński i białoruski, prezentujące pieśni, tańce i muzykę.

Jedną z atrakcji był I Ogólnopolski Festiwal Kuchni Tatarskiej w Kruszyńnianach, w którym wystartowało 7 drużyn. Należało przygotować z dostępnych produktów popularne tatarskie kolduny oraz czebureki. Pierwsze miejsce – za najlepsze kolduny – jury przyznało Róży Bogdanowicz, drugie zajęła Maria Radecka, a trzecie Anna Mucharska. W czeburekach pierwsze miejsce zdobyła Paulina Konwiak i Michał Leoniuk, drugie Elżbieta Radecka i Iza Zamecka, zaś trzecie Magda Jucha. Męskie, połączone siły Studzianki i Wrocławia, mimo starań Mirosława Wędy i Musy Czachorowskiego, uwiązających się przy przygotowaniu potrawy, nie zyskały niestety uznania jury na tyle, aby znaleźć się na podium. Jednak zebrali swe pierwsze konkursowe doświadczenia i za rok pewnie będzie lepiej. Potem był jeszcze konkurs jedzenia jecz-poczmaków na czas. Jego zwycięzcą został Antoni Michalski przed Michałem Michajłowem i Magdą Juchnowicz. W jedzeniu puz na czas wygrał Karol Szutkiewicz przed Piotrem Milewskim i Michałem Michajłowem.

*Tekst i fot. Lukasz Węda*

## Tatarzy-muzułmanie na ziemiach Rzeczypospolitej

Wspólne działania Muftiego RP Tomasza Miśkiewicza, Najwyższego Kolegium Muzułmańskiego Związku Religijnego, Biura Poselskiego Jana Widackiego oraz Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego zaowocowały wystawą „Tatarzy-muzułmanie na ziemiach Rzeczypospolitej”. Została ona przedstawiona w Galerii Oko dla Sztuki I na terenie kampusu Krakowskiej Akademii, a jej uroczyste otwarcie nastąpiło 30 maja br. Najwyższe Kolegium Muzułmańskiego Związku Religijnego reprezentował Stefan Jasiński. Krakowianie z zainteresowaniem zapoznawali się z informacjami oraz zdjęciami obrazującymi historię oraz współczesność polskiej społeczności tatarskiej.

*(ski)*  
Fot. Katarzyna Warmińska



## Doktor „od Tatarów”

Z przyjemnością informujemy, że 2 czerwca 2011 r. znany dobrze w środowisku tatarskim Michał Łyszczarz obronił pracę doktorską i otrzymał stopień doktora nauk humanistycznych w zakresie socjologii na Wydziale Nauk Społecznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Jego rozprawa doktorska poświęcona jest, oczywiście, problematyce tatarskiej i nosi tytuł „Religia i tożsamość. Socjologiczne studium młodego pokolenia Tatarów w Polsce”. Michał Łyszczarz od wielu lat towarzyszy nam w każdej niemal imprezie, współpracuje i pomaga. Dobry to przyjaciel Tatarów. Serdeczne gratulacje, Michale!

Oto charakterystyka jego pracy, która, mamy nadzieję, już niebawem ukaże się w formie książkowej: *Zasadniczym celem analizy zawartej w przedłożonej pracy doktorskiej jest przybliżenie problemu tożsamości oraz religijności przedstawicieli młodego pokolenia polskich Tatarów. Aby tego dokonać omówiono specyfikę generacyjną młodych Tatarów*



Dr Michał Łyszczarz

*przejawiająca się min. w: aktywności społeczno-kulturalnej; zainteresowaniach i sposobach spędzania wolnego czasu; wzorach i autorytetach; planach na przyszłość oraz w stosunku młodych Tatarów do małżeństw mieszanych. Poprzez analizę szeregu płaszczyzn autoidentyfikacji przedstawiono również wymiary tożsamości etnicznej młodego pokolenia min. poziom dumy z pochodzenia tatarskiego; stosunek do przestrzeni symbolicznej i przejawów popularnej kultury arabsko-muzułmańskiej oraz związki łączące młodych Tatarów z pobratymcami z wschodnią granicą i Arabami mieszkającymi w Polsce. Wskazano ponadto obecność zasadniczych cech religijności muzułmańskiej wśród młodych Tatarów, takich jak stosunek do nakazów i zakazów religijnych w kontekście tradycji tatarskiej; obrzędowość świąteczna; ocena lekcji religii oraz problem nauki języka arabskiego jako języka liturgicznego. [...] Obecnie autor przygotowuje do druku tekst przedłożonej rozprawy doktorskiej.*

Redakcja PT  
Fot. Piotr Tokarczuk



Mufti Miśkiewicz opowiada o podlaskich Tatarach

## Spotkanie w muzeum

W ramach obchodów 85-lecia Muzułmańskiego Związku Religijnego w Rzeczypospolitej Polskiej, 8 czerwca br. w Muzeum Historycznym w Białymstoku odbyło się spotkanie z Muftim RP, przewodniczącym Najwyższego Kolegium MZR Tomaszem Miśkiewiczem, zatytułowane „Tatarzy na Podlasiu”. Wystąpił także zespół „Buńczuk” z tańcami krymskimi i baszkirskimi. Społeczność tatarską reprezentowali: Halina Szahidewicz, Zosia Assanowicz, Barbara Pawlic-Miśkiewicz, Anna i Krzysztof Mucharscy, Lilla Świerblewska, Maria Aleksandrowicz-Bukin oraz Ewa Jakubowska i Ewa Jakubowska.

(skł)  
Fot. Krzysztof Mucharski

## Sabantuj w Trokach

18 czerwca br. odbył się w Trokach VII Międzynarodowe Nadbałtyckie Święto Tatarskie - Sabantuj, zorganizowane przez Związek Wspólnot Tatarów Litwy, którego przewodniczącym jest Adas Jakubauskas. Pobratymcy zapowiadali wiele atrakcji, m.in. występy zespołów – zaprosili także nasz białostocki „Buńczuk” – zatem chętnych na wyprawę do Trok nie

brakowało. Wyjazd zorganizowała przewodnicząca białostockiej gminy wyznaniowej MZR Halina Szahidewicz, a wśród wyjeżdżających byli: Irena i Emir Aleksandrowiczowie, Lila i Jakub Smolscy, Ewa Jakubowska, Mierjema Chalecka-Giembicka, Zofia Assanowicz, Maria Aleksandrowicz-Bukin, Lilla, Adam, Ewa, Elżbieta i Aleksander Świerblewscy, Iwona

i Adam Iljasiewiczowie oraz Mirosława i Adam Safarewiczowie. Zauważyliśmy, że z Gdańska dojechał Omar Asanowicz.

Święto rozpoczęło się wspaniałym, barwnym pochodem zespołów przez Troki. A potem były tańce i śpiewy, smakołyki tatarskiej kuchni, strzelanie z luku, tatarskie zapasy koresz, ludowe rękodzieło i wiele jeszcze ciekawych przedsięwzięć. Po sabantujowych emocjach znalazł się jeszcze czas na zwiedzenia miasta i tamtejszego zamku, zaś w drodze powrotnej zatrzymano się w pełnym uroku Wilnie na spacer po starówce oraz wyprawę na historyczny cmentarz Na Rossie.

(ski)

Fot. Krzysztof Mucharski



Tatarski przemarsz ulicami Troki

Anna i Emilia Mucharskie

## Tatarskie warsztaty tańca i haftu

Od 24 do 30 czerwca 2011 r. odbywały się warsztaty tańca tatarskiego z nauką haftu stroju, zorganizowane były przez białostocką Muzulmańską Gminę Wyznaniową MZR przy wsparciu finansowym Urzędu Miejskiego w Białymstoku. Uczestniczyły w nich dzieci i młodzież tatarska z rodzicami oraz nasi przyjaciele – sympatycy tańca tatarskiego: Dżaneta Miśkiewicz, Emil Miśkiewicz, Elżbieta Świerblewska, Ewa Świerblewska, Emilia Mucharska, Karolina Jakubowska, Barbara Halicka, Julia Jakubowska, Mateusz Pawlik, Selim Mucharski, Dawid Chazbijewicz, Lilla Świerblewska, Iza Brant-Szehidewicz oraz Anna Mucharska. Wszyscy sumiennie ćwiczyli, zaczynając od nieodzownej rozgrzewki, pod kierunkiem naszego choreografa i instruktora Achmeda Taschaewa. Pan Achmed opiekuje się również czeceńskim zespołem dziecięco-młodzieżowym „Lowzar”.

W warsztatach uczestniczyła Arzy Osmanova, studentka kulturoznawstwa z Warszawy, na stałe mieszkająca w Bączysaraju. Przyjechała do Białegostoku na nasze zaproszenie, chcąc poznać polskich Tatarów. Arzy była nam bardzo pomocna w nauce techniki tańca tatarskiego, bo kto inny mógłby nauczyć nas dobrze tańczyć, jak nie rodowita mieszkanka Krymu. W niedzielę Arzy miała urodziny. Sprawiliśmy więc jej niespo-

dziankę. Przepyszny tort, zrobiony przez Lilę Świerblewską smakował wszystkim. Przez kilka godzin warsztatów wczuwaliśmy się w rytm muzyki do bączysarajskiej haytarmy.

Po krótkiej przerwie na posiłek, uczestnicy warsztatów chętnie uczyli się również tajników haftu stroju. Pani Halina Szahidewicz ze szczególnymi opowiadała o możliwościach i rodzajach haftów na strojach. Dzieci z zapałem haftowały według własnych projektów. Ku zdziwieniu wszystkich, Selim Mucharski bardzo ładnie wyhaftował piękny krajobraz. W czwartek, ostatni dzień imprezy, zaprosiliśmy przedstawicieli Urzędu Miasta, swoje rodziny, a także nasz zaprzyjaźniony zespół „Lowzar”. Przedstawiliśmy krótki program z naszą nowo wyuczoną haytarmą oraz popisem czwórki chłopców: Mateusza, Emila, Selima i Dawida. Potem wystąpiły dzieci z „Lowzar” w przecudnym pokazie tańców czeceńskich. Sześciolatek Deni z dumą tańczy na palcach i otrzymuje moc okłasków. Na zakończenie warsztatów czas na rozdanie dyplomów i upominków. Jesteśmy bardzo zadowoleni z możliwości nauczenia się nowego tańca. Mamy nadzieję, że za rok też się spotkamy.

Anna Mucharska z córką Emilią

Fot. Krzysztof Mucharski



Tatarska młodzież uczy się nowego tańca

## Festiwal we Wrocławiu

Na wrocławskiej Wyspie Słodowej 26 czerwca br. odbył się już czwarta edycja festiwalu mniejszości narodowych i etnicznych. Tę wyjątkową imprezę przygotowuje tutejsze Porozumienie Mniejszości „Kalejdoskop Kultur”. Wystąpiły na nim m.in. zespoły lemkowski, ukraińskie, niemieckie, romskie. Byli Karaimi oraz Bułgarzy. Można było posilić się smacznymi wyrobami m.in. greckimi i żydowskimi. Niestety, w tym roku zabrakło we Wrocławiu Tatarów (może dlatego festiwal był jakiś smutny...), jedynie Musa Czachorowski prezentował obok domku ormiańskiego wydawnictwa Muzułmańskiego Związku Religijnego. A ludzie pamiętali i pytali: „Czemu nie ma tego, no... pierekaczownika?” Cóż, miejmy nadzieję, że będzie w przyszłym roku.

(skł)

Fot. Elżbieta Owedyk



Selim Chazbijewicz

## Jakub Romanowicz 1878–1964

Jakub Romanowicz urodził się 15 października 1878 roku w Wilnie. Ojcem jego był Romuald Romanowicz, zawodowy oficer armii cesarsko-rosyjskiej w randze sztabkapitana, matką Amelia z domu Jakubowska. Rodzina Romanowiczów wywodziła się według Stanisława Dziadulewicz<sup>1</sup> z tatarskiego rodu kniaziów Juszeńskich o przydomku Daniar Beg, pochodzącego od władców Złotej Ordy. Według współczesnego badacza heraldyki tatarskiej, Stanisława Dumina, nie jest to jednak udowodnione<sup>2</sup>. Romanowiczowie nazywali się murzami, jednym z tytułów tatarskiej arystokracji i szlachty. Używany przez nich tytuł Denir Murza nie jest potwierdzony źródłowo. Ojciec Romualda, Albert Abraham, syn Daniela Romanowicza, był właścicielem majątku Niekraszuńce w powiecie lidzkim. Romuald, oprócz Jakuba, miał syna Aleksandra, generała-majora armii rosyjskiej, później polskiej oraz córki: Marię, zamężną z Abutalebem Muchłą, synem Aleksandra, pułkownikiem artylerii armii rosyjskiej i Zannę, zamężną z Jakubem Bohdanowiczem.

Jakub Romanowicz podjął naukę w szkole kadetów w Połocku, którą ukończył w roku 1896. Służbę wojskową podjął w szeregach elitarnego pułku dragonów Lejb Gwardii JCMości, stacjonującego w Peterhofie pod Sankt Petersburgiem. Z czasem oddelegowany został na naukę w Mikołajewskiej Szkole Kawalerii, którą kończy w 1898 roku. W roku 1901 pomimo zdanego pomyślnie egzaminu nie dostał się jednakże do Akademii Sztabu Generalnego. W roku 1902 awansował na porucznika, a w 1906 na sztabkapitana<sup>3</sup>.

30 października 1902 roku zawarł związek małżeński z Marią Talkowską, córką Abrahama Talkowskiego, podpuł-

kownika armii rosyjskiej, i Marii z Makowieckich. W roku 1904 urodził się im syn Roman, a w 1908 córka Zofia.

Po wybuchu I wojny światowej Jakub Romanowicz bierze udział w kampanii w Prusach Wschodnich w 1914 roku, potem na Litwie w okolicach Mariampola i Kowna. Walki te opisał w książce wspomnieniowej pt. *Lejb-draguny doma i na wojnie*, wydanej po rosyjsku w Paryżu w roku 1929. Później, wraz ze swoją jednostką, uczestniczył w r. 1915 w kampanii pod dowództwem gen. Brusilowa przeciw armii austro-węgierskiej. Za udział w wojnie zostaje odznaczony orderami: św. Anny 3 stopnia z mieczami, św. Anny 4 stopnia z napisem „za odwagę”, św. Stanisława 2 stopnia z mieczami.

22 października 1915 roku awansowany na podpułkownika i przeniesiony do 4 Huzarskiego Mariupolskiego Pułku im. Cesarzowej Elżbiety Pietrownej. 9 maja 1917 roku mianowany pułkownikiem i - już z ramienia Rządu Tymczasowego - obejmuje dowództwo tego pułku. Podczas wybuchu październikowej (listopadowej) rewolucji (puczu) bolszewików znajduje się w jednym z szpitali petersburskich. Następnie, razem z rodziną, ewakuuje się na południowy wschód Rosji europejskiej. Najpierw do miejscowości Balachina nad Wołgą, następnie do Kazania. Tam rodzina Romanowiczów próbowała zaadoptować się do nowych warunków życia.

W roku 1921, po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej, dzięki interwencji i pomocy brata Aleksandra, wówczas generała kawalerii Wojska Polskiego, dowódcy Tatarskiego Pułku Ułanów im. Plk. Mustafy Achmatowicza, uczestnika kampanii kijowskiej, Jakub Romanowicz wraz z rodziną wyjeżdża z Rosji sowieckiej do Polski. Zaczyna gospodarzyć w oddziedziczonym majątku Niekraszuńce, liczącym wtedy 200 ha. Dwór rodzinny pochodzący z XVIII wieku został spalony przez Niemców w 1916 roku podczas ofensywy.

<sup>1</sup> Stanisław Dziadulewicz, *Herbarz rodzin tatarskich w Polsce*, Wilno 1929, wyd. II Warszawa 1986.

<sup>2</sup> Stanisław Dumina, *Herbarz rodzin tatarskich Wielkiego Księstwa Litewskiego*, Gdańsk 2006, s. 79.

<sup>3</sup> Mikołaj Romanowicz-Kolacz, *Życiorys pułkownika Jakuba Romanowicza*, [w:] Rocznik Tatarów Polskich, t. IV, Gdańsk 1997, s. 307-309.

Gospodarząc na roli, bierze też udział w odradzającym się życiu społecznym i religijnym polskich Tatarów.

Już w grudniu roku 1925 podczas pierwszego, organizacyjnego kongresu Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP, Jakub Romanowicz był jednym z trzech kandydatów na stanowisko muftiego – głowy wyznania muzułmańskiego w Polsce. Wyборы te wygrał jednakże orientalista doktor Jakub Szykiewicz. Jakub Romanowicz został zastępcą muftiego, zajmującym się sprawami organizacyjnymi polskich muzułmanów. W tym czasie byli to przede wszystkim polscy Tatarzy. W Warszawie zamieszkiwała jedynie niewielka ilość emigrantów i uciekinierów z Rosji sowieckiej. Była też śladowa ilość wyznawców islamu z Bliskiego Wschodu. Ludność muzułmańska w II Rzeczypospolitej liczyła 6000 osób, skupionych w 19 parafiach i posiadających 17 małych, drewnianych meczetów. Zamieszkiwała przede wszystkim województwo wileńskie i nowogródzkie. Pewna liczba mieszkała ponadto w województwie wolińskim, istniała też Gmina Muzułmańska m. st. Warszawy.

Nadzór nad funkcjonowaniem MZR w RP i działalnością muftiatu sprawowało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W roku 1936 Sejm RP uchwalił ustawę o stosunku państwa do wyznania muzułmańskiego w Polsce, która ze zmianami obowiązuje do dzisiaj. Te relacje administracyjne, również ze strony muzułmańskiej, leżały w gestii Jakuba Romanowicza. W roku 1926 był on jednym z założycieli i organizatorów Związku Kulturalno-Oświatowego Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej. Funkcję zastępcy muftiego Jakub Romanowicz sprawował do roku 1938. Wtedy to nastąpiła reorganizacja Muzułmańskiego Związku Religijnego w RP. Likwidacji uległo stanowisko zastępcy muftiego, natomiast utworzono Najwyższe Kolegium jako organ doradczy muftiego.

W latach 1922-1939 Jakub Romanowicz mieszkał w Wilnie. Tam, w roku 1935 kupił nieduży dom razem z ogrodem przy ulicy Witoldowej 35 w dzielnicy Zwierzyniec. Rok później jako zastępca muftiego uczestniczył w zaprzysiężeniu 1 Szwadronu Tatarskiego 13 Pułku Ułanów Wileńskich w Nowej Wilejce. 25 lipca 1937 roku w dniu święta pułkowego wręczył pocztowi sztandarowemu Szwadronu Tatarskiego buńczuk, będący w dawnych czasach symbolem władzy w państwach

tatarskich, a także symbolem wojskowym. Buńczuk ten, o charakterystycznym wyglądzie, ufundowała społeczność polskich Tatarów dla swojej jednostki wojskowej. Jego replika znajduje się obecnie w Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Po wybuchu II wojny światowej i po wejściu armii sowieckiej na wschodnie tereny Rzeczypospolitej, Jakub Romanowicz był dwukrotnie aresztowany przez NKWD. Od wywiezienia na zesłanie uratował go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej 22 czerwca 1941 roku. Do końca roku 1945 przebywał w Wilnie. Na przełomie lat 45-46 razem z żoną Marią zdecydował się na wyjazd na tereny Polski Ludowej. Na początek zamieszkali w Zalesiu pod Warszawą, później w mieszkaniu kwaterunkowym przy ulicy Marszałkowskiej 1. W Warszawie Jakub Romanowicz rozpoczął pracę zawodową najpierw w Państwowym Zakładzie Emerytalnym, później w Szkole Gospodarstwa Wiejskiego i w Polskich Nagraniach. Po przejściu na emeryturę, z powodów materialnych zatrudnił się jako nocny stróż w Towarzystwie im. Fryderyka Chopina. Kontynuował również działalność religijną i społeczną na rzecz wspólnoty polskich Tatarów.



W roku 1947 został pierwszym przewodniczącym Najwyższego Kolegium Muzułmańskiego, organu zarządczego reaktywowanego Muzułmańskiego Związku Religijnego. Ówczesne władze zarejestrowały MZR na nowych zasadach. Likwidacji uległo stanowisko muftiego, zaś władzę wykonawczą sprawowało Najwyższe Kolegium na czele z przewodniczącym. Funkcję tę sprawował Jakub Romanowicz do roku 1955, kiedy to przejął ją Emir Tuhan Baranowski. Stojąc na czele Muzułmańskiego Związku Religijnego Jakub Romanowicz organizował od nowa religijne życie polskich muzułmanów po 1945 roku. Wiele wysiłku włożył w odrestaurowanie zabytkowego cmentarza muzułmańskiego przy ulicy Tatarskiej w Warszawie, mocno zniszczonego podczas działań wojennych.

Zginął tragicznie w wypadku drogowym: został przejechany przez motocykl 7 sierpnia 1964 roku w Warszawie. 12 sierpnia pochowano go na tamtejszym cmentarzu muzułmańskim. Tam również spoczywa jego żona Maria oraz syn Roman, poległy podczas walk o Warszawę w 1939 roku.

Selim Chażbijewicz

Aleksander Miśkiewicz

## Goście tureccy w Gdyni w latach międzywojennych XX w.

W sierpniu tego roku minie 85. rocznica zawinięcia do Gdyni pierwszego statku bandery tureckiej. I tak naprawdę, nie byłoby tutaj o czym pisać, gdyż do będącego wówczas w budowie portu gdyńskiego zawijały już statki, cumując przy prowizorycznie zbudowanym molu. Ale ów statek turecki nie przybył z ładunkiem i nie miał nic załadować, a przyplłynął z wystawą przemysłu tureckiego, eksponowaną na jego pokładzie. Nazwał się „Kara Deniz” (Morze Czarne), odbywał z tą wystawą rejs dokola Europy, z portem docelowym w Leningradzie (dziś Petersburgu). W drodze powrotnej, przed dotarciem do portu macierzystego w Stambule, zaplanowane miał zawinięcie do kilku jeszcze portów europejskich. Gdynia miała być jednak w jego rejsie pominięta.

Nie wiadomo z jakiej przyczyny wystawy nie planowano pokazać w Polsce. A przecież nasz kraj znany był już w Turcji, mam na myśli Turcję republikańską, z racji wystawy przemysłowej, jaką przy poparciu władz państwowych zorganizowało Stowarzyszenie Kupców Polskich w Stambule we wrześniu 1924 r. Wzięło w niej udział aż 152. wystawców, do których dołączyło kilku przedsiębiorców tureckich. Jej celem było pokazanie osiągnięć przemysłu polskiego, nie tylko w Turcji, lecz z myślą, że zainteresują się nią także kupcy z całego Bliskiego Wschodu. Była to pierwsza taka duża wystawa zagraniczna po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

Pomimo przeprowadzenia przez polskie firmy wielu pomyslnych kontraktów z handlowcami tureckimi, nie przyniosła ona większych korzyści dla rozwoju polskiego eksportu na tamtym terenie. Zdaniem wielu naszych handlowców była przedwczesna i z jej organizacją należało poczekać jeszcze kilka dni<sup>1</sup>.

Powróćmy do rejsu tureckiego statku. Wiedzano o nim w Poselstwie RP w Angorze (nazwa nowej stolicy Turcji, zmieniona niebawem na Ankare) i przed wypłynięciem „Kara Deniz” wystawę, eksponowaną na jego pokładzie, zdażył zwiedzić radca handlowy Poselstwa, Zygmunt Vetulani. Uznał on, że należy ją pokazać w Gdyni. Dzięki jego staraniom, przy poparciu Wydziału Wschodniego polskiego MSZ, władze tureckie wyraziły zgodę, aby „Kara Deniz”, odwiedzając w drodze powrotnej Wolne Miast Gdańsk, zaawizował także do Gdyni<sup>2</sup>.

I tak też się stało. Statek, po jednodniowym postoju w Gdańsku, przyplłynął 03.08.1926 r. do Gdyni. Na wodach terytorialnych Polski wypłynęły mu na spotkanie dwa okręty wojenne oraz nadleciały samoloty z bazy lotnictwa marynarki Wojennej w Pucku. Turków powitała liczna delegacja na czele z pełniącym rolę gospodarza, wojewodą pomorskim, Stanisławem Wachowiakiem. Po wejściu na pokład statku, delegację

przywitał tposeł turecki w Warszawie, Yahia Kemal. Tego dnia nie zwiedzano wystawy dokładnie, pozostawiając to na dzień następny, ponieważ na część gości tureckich zorganizowany został w miejscowym kasynie uroczysty obiad o godz. 21.00. W sali, przybranej flagami polskimi i tureckimi, zasiadło do stołów ok. 100 osób. Wśród gości tureckich rzuciła się w oczy liczna grupa kobiet, ubranych jak Europejki.

Orkiestra Marynarki Wojennej zagrała hymny turecki i polski i jako pierwszy zabrał głos wojewoda pomorski, Stanisław Wachowiak. Skierował wiele serdecznych słów pod adresem republikańskich władz tureckich, z podkreśleniem zasług prezydenta Kemala Paszy Ghaziego, na które część wznosił toast. Przypomnił, choć odnosiło się to do czasów sultańskich, że Turcja nigdy nie uznała rozbiorów Polski. Nawiązał do tego następny mówca, poseł turecki Yahia Kemal, podkreślając mocno ten fakt. Podziękował on wojewodzie za chęć obejrzenia wystawy w Gdyni, twierdząc, że w Turcji przykładą się baczną uwagę do budowy portu gdyńskiego. Nie wspomnił jednak, dlaczego wcześniej nie zaplanowano tu wizyty „Kara Deniz”.

Przemówienia wygłaszali jeszcze m.in. przedstawiciel Ministerstwa Przemysłu i Handlu Turski oraz dyrektor wystawy tureckiej Hilmi-Bey. Następnie odbyła się zabawa tańeczna, która przeciągnęła się aż do godziny 4 nad ranem. Warto nadmienić, że koszt obiadu był pokryty ze środków państwowych, ale podczas zabawy w kasynie wszelkie posiłki i napoje należało regulować osobiście. Aby goście tureccy nie poczuli się tym dotknięci, płacili za nich przedstawiciele delegacji polskiej<sup>3</sup>.

Następnego dnia, po obejrzeniu wystawy przez przedstawicieli władz wojewódzkich i kilku osób z ministerstw, tłumy zwiedzających zaległy pokład „Kara Deniz”. Wieść o przybyciu tego statku z wystawą, rozniosła się szybko po całym Wybrzeżu, gdzie z uwagi na sezon letni przybywało wielu wczasowiczów. Przybyli więc letnicy z Helu i Jastarni, z Władysławowi, Pucka i Orłowa Morskiego. Zwiedzającym cały czas przygrywała orkiestra pokładowa.

Wystawa składała się z 6 działów. Pokazywano na niej wyroby młodego przemysłu republikańskiego Turcji, w tym makaty i dywany oraz naczynia i wyroby z porcelany i fajansu. W dziale mody eksponowano głównie futra. W rolniczym zapoznawano widzów z owocami i warzywami stanowiącymi główne uprawy w Turcji. Często zwiedzających wodą mineralną pochodzącą z uzdrowisk w Kiszarnie i Kara-Hissar. Prezentowano meble oraz wyroby z miedzi, w tym dużą ilość naczyń, a także bogactwa naturalne Turcji: węgiel, miedź i ołów srebrzysty.

Dysponujący większą gotówką zwiedzający mogli zakupić nie tylko pamiątki przemysłu ludowego, lecz także dywany i makaty, wydawnictwa propagandowe w językach angielskim i niemieckim, ponadto cygara i papierosy.

<sup>1</sup> O wystawie przemysłu polskiego w Turcji: E.R. *Nowe drogi naszej ekspansji*, „Przegląd Gospodarczy” 01.10.1924, z. 19, s. 813-816, M. Chorzewski, *Polska wystawa w Konstantynopolu*, tamże, s. 820-821, D. Chmielowska, *Polsko-Tureckiej stosunku dyplomatyczne w okresie międzywojennym*, Warszawa 2006, s. 231-233.

<sup>2</sup> Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej AAN), MSZ, sygn. 8797, s.26-28.

<sup>3</sup> AAN, MSZ, Sprawozdanie Polskiej Agencji Telegraficznej ze spotkania i przyjęcia wystawionego na cześć załogi i wystawców statku „Kara Deniz” sygn. 8797, s. 121.





Kapitanat portu w Gdyni, rok 1935, fot. W. Chrabąszczewski

„Kara Deniz” odpłynął 05.08.1926 r., a jego załoga i wystawcy wywoziła z pobytu w Gdyni bardzo miłe wrażenie. Nie spodziewano się zapewne tak serdecznego przyjęcia, nie tylko ze strony władz, lecz także ze strony mieszkańców województwa pomorskiego i letników przybyłych z głębi kraju. Wizyta tureckiego statku była wszakże dla budującego się portu gdyńskiego wielkim świętem. On sam stanowił natomiast dla Turków wizytówkę odradzającej się Polski<sup>4</sup>.

W późniejszych latach bandera turecka rzadko pojawiała się w Gdyni. Dopiero 27.10.1933 roku zawinął do niej statek „Mete” w celu załadunku węgla<sup>5</sup>. Początkowo większość towarów przeznaczonych dla Turcji, ale także do innych krajów Bliskiego Wschodu, jak Palestyna czy Egipt, zabierały z Gdyni lub Gdańska statki obcych bander, w tym armatora szwedzkiego specjalizującego się w przewozach do portów Morza Śródziemnego. Dopiero pod koniec lat trzydziestych, coraz więcej statków polskich pojawiało się

w portach bliskowschodnich na tzw. linii lewantyńskiej.

Handel z Turcją prowadzony był również tranzytem przez Rumunię, do któregoś z jej portów na Dunaju lub do Konstancy, co znacznie potaniało koszty transportu, w porównaniu z przesyłką wokół Europy.

Poza statkami tureckimi do Gdyni przebywali też handlowcy i dziennikarze tureccy. O ich pobycie w polskim „oknie na świat”, jak nazywano wówczas Gdynię, niewiele wiemy. Chyba, że zaznaczyła ich pobyt miejscowa prasa, np. „Wiadomości Gdyńskie” lub „Kurier Bałtycki”. Ta druga gazeta poinformowała 24.08.1939 r. swoich czytelników, iż przybył do Gdyni Mustafa Nadir Nadi, jeden z najbardziej znanych dziennikarzy tureckich. Interesowała go Gdynia, tak miasta i port, a chciał zajrzeć też do Gdańska, aby zorientować się w napiętych wówczas stosunkach polsko-niemieckich. Podczas wizyty odwiedził swego znajomego Leona Najmana Mirzę Kryczyńskiego, wiceprezesa Sądu Okręgowego w Gdyni i naczelnego redaktora „Rocznika Tatarskiego”. Obaj poznali się kilka lat wcześniej w Turcji<sup>6</sup>. O czy rozmawiali podczas spotkania u Leona Kryczyńskiego w jego mieszkaniu przy ulicy Świętojańskiej, czy wyczuwali niepewność każdego dnia, zastanawiając się kiedy wybuchnie konflikt z Niemcami, a może snuli jakieś plany na przyszłość, na następne spotkania - trudno powiedzieć. W tym czasie w Warszawie, kuzyn Leona Kryczyńskiego, Stanisław Kryczyński, szykował do wydania III tom „Rocznika Tatarskiego”, który jednak nie miał się już nigdy ukazać.

Aleksander Miśkiewicz

<sup>4</sup> Tamże, s. 31–32.

<sup>5</sup> Z *Kroniki portowej*, „Wiadomości Portu Gdyńskiego”, XI, 1933, nr 11, s. 51.

<sup>6</sup> „Kurier Bałtycki”, Gdynia, 24.08.1939 r., nr 194.

Michał Łyszczyński

## Tatarski partyzant na Roztoczu

Wędrując szlakami Puszczy Solskiej, co rusz natknąć się można na ukryte w lesie pamiątki po partyzantach walczących z hitlerowcami w lasach Roztocza. Upływający czas zatarł jednak bezwzględnie wiele szczegółów dotyczących ówczesnych tragicznych wydarzeń. Minęły lata od zakończenia drugiej wojny światowej, zdążyły już odejść pokolenia, które osobiście doświadczyły trudnych lat okupacji. Z roku na rok ubywa naocznych świadków, mogących opowiedzieć o losach lokalnego ruchu oporu, rekonstrukcja skomplikowanych dziejów Roztocza powoli staje się domeną historyków. Jednakże oprócz suchych faktów, opartych na analizie zasobów archiwalnych, znanych zresztą tylko wąskiemu gronu czytelników, natknąć się można na miejsca, upamiętniające w społecznej świadomości obraz krwawych wydarzeń sprzed kilkudziesięciu laty. Żeby je odnaleźć, wystarczy szczegółowa mapa topograficzna. Studiując jej treść można bowiem natra-

fić na zagubione w terenie ślady przeszłości, takie jak groby, pomniki, czy miejsca potyczek. Proste znaki kartograficzne, choć służyć mają jako swoiste drogowskazy, pozwalające na orientację geograficzną, są chyba obecnie najłatwiej dostępnymi świadectwami obecności ukrytej przestrzeni symbolicznej. Taka właśnie prosta wskazówka umieszczona na mapie skierowała moją uwagę na egzotyczną postać nieznanego mi wcześniej „Miszki Tatar”. Spośród dziesiątków pamiątek po polskich i radzieckich partyzantach, on wydał mi się najbardziej interesujący, zaintrygował mnie – Tatar walczący na Roztoczu. Kim był? Co robił Tatar w lasach nieopodal Józefowa? Jak zginął? Te pytania skłoniły mnie do odwiedzenia miejsc, związanych z „Miszką Tatarem”.

W południowej części Józefowa, kilkaset metrów na południe od ostatnich zabudowań, znajduje się pomnik upamiętniający śmierć partyzanta. Obelisk został umieszczony na pobliskim

wzgórzu, z którego rozpościera się szeroka panorama na miasto. Wokół pomnika leżą wiązanki kwiatów złożone przez polskie i ukraińskie organizacje kombatanckie, w tym także delegację z Krymu<sup>1</sup>. Na kamieniu wykuto inskrypcję po polsku i rosyjsku o następującej treści:

*W bołdżie dowódcy oddziału partyzanckiego M. Atamanowi – ps. „Miszka Tatar” poległemu tu dn. 1 VI 1943 wraz z grupą partyzantów polskich i radzieckich w walce z okupantem hitlerowskim mieszka. [mieszkańcy – przyp. M. L.] Józefowa.*

Początkowo „Miszkę Tatarą” pochowano w zbiorowej leśnej mogile kilka kilometrów od Józefowa w kierunku południowo-wschodnim, nieopodal wsi Hamernia. Grób znajdował się w rezerwacie „Czartowe Pole” nad rzeką Sopot. Obecnie stoi obecnie drewniany krzyż, a w miejscach grobów umieszczone są niewielkie tablice ze zwięzłymi informacjami:

*Nieznani polscy partyzanci polegli w czasie II wojny światowej.*

*Partyzant radziecki Malik Ażurow ps. „Iwan Tadzżyk” poległ 1 VI 1943 r.*

Wspomniany na płycie nagrobnej Malik Ażurow walczył w oddziale „Miszki Tatarą” i razem z nim zginął pod Józefowem. Po wojnie dokonano ekshumacji zwłok pochowanych na „Czartowym Polu”, przenosząc je do kwatery partyzanckiej na cmentarzu w Józefowie. Tam też ostatecznie spoczął „Miszka Tatar”, którego mieszkańcy Józefowa uczynili patronem jednej z ulic nieopodal rynku. Z tatarskim partyzantem związane jest jeszcze jedno miejsce na Roztoczu. Na uroczysku Maziarze, znajdującym się między Józefowem a Osuchami, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację upamiętnił sporym kamieniem miejsce kryjówki oddziału „Miszki Tatarą”. Na pomniku wystawionym z okazji 30-lecia PRL umieszczono płaskorzeźbę twarzy tatarskiego partyzanta i napis:

*W tym miejscu były placówki radzieckie 1942-1944.*

Postać roztoczańskiego Tatarą z Józefowa owiana jest legendą. O partyzancie wiadomo bardzo niewiele. Nie jest pewne nawet jego nazwisko, w piśmiennictwie występuje on bowiem jako: Michaił Atamanow (jak na pomniku w Józefowie), Adamow Ufa Magomoły, a także Adamanow Umer Achmolla. Pewne jest natomiast to, że był rosyjskim Tatarą. „Miszka Tatar” urodził się w roku 1912 lub 1916 we wsi Aj-wasil niedaleko Jałty albo, jak podają niektóre źródła,



*Mogila na „Czartowym Polu”*



*Ulica Miszki Tatarą w Józefowie*

w mieście Elaburg nad Kamą w Tatarstanie. W 1939 r. został powołany, w stopniu starszego lejtnanta, do stacjonującego na Białorusi 97 pułku piechoty 18 Dywizji Piechoty Armii Czerwonej. We wrześniu 1941 r. w bitwie pod Orszą został ranny i dostał się do niewoli niemieckiej. „Miszka Tatar” trafił do obozu jenieckiego w Częstochowie, skąd uciekł w styczniu 1942 r. i przedarł się w rejon Józefowa, gdzie, z pomocą miejscowej ludności, utworzył oddział partyzancki złożony z byłych radzieckich jeńców wojennych. Od marca 1942 r. do czerwca 1943 r. zorganizował szereg udanych akcji dywersyjnych. W marcu 1943 r. oddział stał się formalnie częścią Gwardii Ludowej. „Miszka Tatar” poległ 1 czerwca 1943 r. na skraju kamieniołomów w Józefowie w potyczce z Niemcami broniąc miejscową ludność przed pacyfikacją. Według niektórych teorii spiskowych partyzant zginął nie w walce, lecz od skrytobójczej kuli oficera politycznego ze swojego oddziału, który miał w ten sposób wykonać zlecony przez Stalina wyrok

<sup>1</sup> Internetowa witryna Urzędu Miasta w Józefowie informuje, że 1 czerwca 2011 r. przy odnowionym pomniku bohaterskiego oficera odbyły się obchody 95. rocznicy urodzin i 68. rocznicy śmierci „Miszki Tatarą”. Udział w nich wzięli m.in. potomkowie legendarnego partyzanta oraz przedstawiciele Rady Najwyższej Autonomicznej Republiki Krymu, Narodowego Centrum Tatarów RP w Gdańsku (w osobie prezesa Jerzego Dżirdżisa Szahuniewiczza) oraz władz Powiatu Bilgorajskiego i organizacji kombatanckich. Gości przywitał burmistrz Józefowa Roman Dziura, a po okolicznościowych przemówieniach i modlitwie duchownego muzułmańskiego, uczestnicy obchodów złożyli wieńce przy pomniku „Miszki Tatarą”. Por.: <http://ias24.eu/aktualnosci,jozefow-uroczystosci-ku-czci-miszki-tatara,4576.html> oraz [http://www.ejozefow.pl/index.php?option=com\\_content&view=article&id=2304:rocznica-smierci-miszki-tatara&catid=18:nowopoci&Itemid=2](http://www.ejozefow.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=2304:rocznica-smierci-miszki-tatara&catid=18:nowopoci&Itemid=2) (stan na lipiec 2011 r.)

śmierci za „zdradę ZSRR” – jak określano postawę żołnierzy, którzy wcześniej dostali się do niewoli niemieckiej<sup>2</sup>.

Tragiczne koleje losu „Miszki Tatar”, poza miejscową ludnością Roztocza, dla której jest on bohaterem, znane są

<sup>2</sup> Na podstawie: Artur Pawłowski „Roztocze. Przewodnik”, Rewasz, Pruszków 2009, s. 126-127; Piotr Szucki „Miszka Tatar” – por. [http://roztocze.it.home.pl/roztocze/texts/oso002.htm#\\_f10](http://roztocze.it.home.pl/roztocze/texts/oso002.htm#_f10) (stan na lipiec 2011 r.); Marzena Maciąg „Znałem Miszkę Tatar” – por. <http://www.kronikatygodnia.pl/tekst.php?abcd=2024&dz=1> (stan na lipiec 2011 r.); Jan Byra „Miszka Tatar – miłość i śmierć” w: *Tygodnik Zamojski* z dnia 30.05.2007 – por. <http://www.tygodnikzamojski.pl/artukul/4925/> (stan na lipiec 2011 r.); „Wizyta potomków Miszki Tatar” – por. [http://www.ejzefow.pl/index.php?option=com\\_content&view=article&id=1730:wizyta-potomkow-miszki-tatarafoto&catid=18:nowopoci&Itemid=2](http://www.ejzefow.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=1730:wizyta-potomkow-miszki-tatarafoto&catid=18:nowopoci&Itemid=2) (stan na lipiec 2011 r.).

tylko wąskiemu gronu osób. A szkoda, bo wiele niejasnych faktów z życia partyzanta wymaga jeszcze wyjaśnienia. Dla mnie jednakże przypadek „Miszki Tatar” jest przede wszystkim dowodem na to, że ślady tatarskości znajdziemy nie tylko na Podlasiu. Postać tragicznie zmarłego partyzanta kolejny raz wskazuje na trwałą obecność etosu wojskowego i przywiązania do wartości patriotycznych wśród Tatarów. Bez względu na to, czy biografie „Miszki Tatar” uznamy za legendę, czy prawdę historyczną ma ona doniosły wymiar symboliczny.

*Tekst i fot. Michał Łyszczyński* ■

## Wdzięczna Polska pamięta bohaterstwo „Miszki Tatar” – Umera Adamanowa rodem z Jałty na Krymie

22 marca 2011 delegacja krymskotatarska w składzie: przewodniczący wydziału spraw zewnętrznych Medżlisu Narodu Krymskotatarskiego Ali Chamzin i przewodniczący republikańskiej organizacji społecznej „Kojdeszler” (Krajanie), Ibrahim Wojenny przybyła z oficjalną wizytą do polskiego miasta Józefów. Podczas spotkania z przedstawicielami tamtejszych władz, omówiono sprawy związane ze zbliżającą się uroczystością 95. rocznicy urodzin legendarnego partyzanckiego dowódcy Umera Adamanowa, który 1 czerwca 1943 roku za cenę swojego życia uratował mieszkańców Józefowa przed zamordowaniem przez faszystowskie oddziały egzekucyjne.

W rozmowach z delegacją krymskotatarską uczestniczył burmistrz Józefowa Roman Dziura i zastępca szefa centrum administracyjnego miasta Bilgoraj Stanisław Schodziński. Omówiono program obchodów 1 czerwca 2011 r. upamiętniających postać Umera Adamanowa, z udziałem delegacji z Krymu i przedstawicieli Tatarów z Polski i Litwy. Ponadto, uczestnicy spotkania w Bilgoraju, wraz ze Stanisławem Schodzińskim, odwiedzili miejscowe muzeum krajoznawcze, gdzie prezentowana jest wyodrębniona ekspozycja poświęcona Umarowi Adamanowi. Dyrektor placówki, Jerzy Waszkiewicz, powiedział, że muzeum przygotowuje kopie istniejących dokumentów i publikacji o legendarnym

dowódcy oddziału partyzanckiego Umerze Adamanowie i przekaże je delegacji krymskotatarskiej podczas uroczystości. Przed wyjazdem delegacja odwiedziła grób Umera Adamanowa i uczciła jego pamięć modlitwą oraz zrobiono pamiątkowe zdjęcie. Warto przypomnieć, że Umer Adamanow, walczący pod groźnym pseudonimem „Miszka Tatar”, którego głowę dowództwo niemieckie wyznaczyło wysoką nagrodę w wysokości 100 000 złotych, zadal lokalnym wojskom okupacyjnym dotkliwe straty. Przede wszystkim, jego działalność nie pozwoliła faszystowskim Niemcom na zrealizowanie planu kolonizacji Zamojszczyzny i zapobiegła masowej deportacji polskich mieszkańców i ich wymordowaniu. Umer Adamanow, rodem z Jałty, za ten czyn został uhonorowany wysokim polskim odznaczeniem wojskowym - Krzyżem Grunwaldu oraz mianowany kapitanem Armii Ludowej. Wdzięczna społeczność polska wzniosła pomnik w miejscu pochówku bohatera w Józefowie. Nadano też jego imię jednej z ulic miasta i corocznie uroczystości obchodzi się dzień jego śmierci.

**Wydział spraw zewnętrznych  
Medżlisu Narodu Krymskotatarskiego**

*Tłum. Musa Czachorowski* ■



*Krymska delegacja przy pomniku ku czci Miszki Tatar*



*Miszka Tatar*

Jan Tyszkiewicz

## Przyjaźnie z Tatarami w Rosji przed 100 laty: Petersburg i Krym

Pamięć o wyróżniających się członkach rodziny potrafi przetrwać przez kilka pokoleń. Ale bez zachowanych dokumentów i powtarzanych wspomnień nieuchronnie zanika. W XIX i XX w. wiele rodzin mieszkających na terytorium Polski przedrozbiorowej było przez zarządzenia państw zaborczych, wojny i udział w powstaniach zbrojnych, pozbawionych własności i dobytku, przesiedlanych i represjonowanych. Dokumentacja życia rodzinnego ginęła. Trzeba było szukać zarobku i pracy często daleko, w różnych guberniach Rosji. Zostawało kilka dokumentów osobistych, czasem pamiątkowe listy. Dlatego z całym przekonaniem należy popierać zbieranie i publikowanie dziejów rodzinnych. W początkach XXI w. często tylko w pamięci najstarszych spośród żywych i w napisach nagrobków zachowały się daty, miejscowości urodzenia i śmierci, informacje o zawodzie, rzadko dane o przyznanych odznaczeniach. Wiele grobów pozostało na obcej ziemi bez trwałych napisów.

Dolączając do tego rodzaju publikacji, dokumentujących życie ostatnich dwóch czy trzech pokoleń naszych poprzedników, chcę dorzucić kamyki na kurhan pamięci o Tatarach zaprzyjaźnionych z Polakami. Oczywiście trzeba pamiętać, że w Europie Wschodniej w XIX i XX w. żyły różne nacje tatarskie, o różnym rodowodzie. Najliczniejsi byli tzw. Tatarzy nadwołżańscy, Tatarzy krymscy oraz mniej liczni, ale aktywni i często wykształceni Tatarzy litewsko-polscy. O nich dwa epizody z wydarzeń sprzed stulecia chcę utrwalić. Akcja toczyła się w Petersburgu i na Krymie.

Rodzina mojej Matki, Stankiewiczowie herbu Ostoja, była średniozamożnym ziemiaństwem z Kresów Wschodnich, mieszkając w pobliżu środkowego biegu Dźwiny i miasta Dyneburga (Daugavpils). Było to na granicy dawnych Inflant, od 1920 roku i obecnie przy granicy z Łotwą. Jak wiadomo większość Tatarów litewsko-polskich mieszkała w województwie wileńskim i nowogródzkim, w Grodzieńskim, koło Oszmiany i Mińska. Nie zachowały się żadne wiadomości o kontaktach Stankiewiczów z Tatarami w XVIII w. czy podczas powstań; nastąpiły dopiero w końcu XIX w. Tyszkiewiczowie herbu Leliwa stykali się z Tatarami w wojsku. Były to kontakty i związki indywidualne i trudne obecnie do odtworzenia, bo w Wielkim Księstwie Litewskim – od Kowna, Połagi po Mińsk – kilka rodzin Tyszkiewiczów miało swoje majątki. W mojej gałęzi rodzinnej zachowały się nieliczne dokumenty. Pozwalają one stwierdzić, że rodzina już przed 1806 roku mieszkała w Królestwie Polskim.

W pol. XIX w. Stankiewiczowie posiadali majątek Berżeniki koło Dukszt. Gospodarował w majątku najstarszy mężczyzna, jego młodszy bracia uczyli się zawodu, przenosili do miast, szukali posady państwowej lub prywatnej. Mój Dziadek Waclaw Stankiewicz (1866-1940) skończył szkoły w Dyneburgu i wybrał zawód leśnika. Ukończył studia w Petersburgu i został pracownikiem uczelni, w tzw. Leśnym Instytucie. Miał tytuł zawodowy „lesawod pierwszego razrządu”, odpowiadający polskiemu określeniu: inżynier leśnictwa.<sup>1</sup> Waclaw ożenił

się z Marią Woyczyńską, z polskiej rodziny pochodzącej też z Kresów i mieszkającej najpierw w Mińsku, później w Petersburgu. Waclaw nie pisał pamiętnika, może z ostrożności. Żona Maria (1873-1962), moja Babcia, z którą mieszkaliśmy, wspominała o znajomości Waclawa z kilku kolegami Tatarami. Należał do nich pan Kryczyński, który odwiedził Ją pod Warszawą ok. 1954 roku; co pamiętam.

Młodzież polska studiująca w Petersburgu była nastawiona patriotycznie. Kontynuowano tutaj stare tradycje obchodów rocznic narodowych, zwłaszcza w kościele rzymskokatolickim w Petersburgu. Zachował się list jednej z ciotek Marii Woyczyńskiej, która będąc nauczycielką napisała do rodziców w Mińsku, jesienią 1862. Polscy studenci przyjechali pociągiem z Warszawy do Petersburga i spowodowali urządzenie uroczystego nabożeństwa patriotycznego. Studenci polscy w końcu XIX w. prowadzili nielegalną Bibliotekę Polską w Petersburgu, należeli do młodzieżowej organizacji niepodległościowej (tzw. ZET), Związku Młodzieży Polskiej i grup socjalistycznych.<sup>2</sup> Właśnie w koń. 1892, na zjeździe socjalistów polskich w Paryżu założono Polską Partię Socjalistyczną. W grupie socjalistów, którzy do programu partii włączyli walkę o niepodległość Polski, znajdowali się jak wiadomo Józef Piłsudski i Aleksander Sulikiewicz.

Maria z Woyczyńskich Stankiewiczowa pozostawiła po sobie krótkie wspomnienia. Wiadomo z nich, że jej starszy brat Marcin (1870-1944) już wówczas, jako student medycyny, znajdował się w kręgu konspiracyjnych socjalistów polskich. Miał on kontakty z Józefem Piłsudskim i Aleksandrem Sulikiewiczem jeszcze przed ucieczką Piłsudskiego z więziennego szpitala w Petersburgu (1890). Dlatego, mając do Marcina Woyczyńskiego zaufanie, powołał go J. Piłsudski na swojego lekarza osobistego, do Warszawy ok. 1928 roku. Na przelocie poprzednich stuleci mieszkało w Petersburgu kilkanaście tysięcy Polaków i przeszło 20 tysięcy Tatarów, głównie nadwołżańskich. Waclaw Stankiewicz, jako pracownik uczelni, mieszkał z rodziną w Leśnym pod Petersburgiem w latach 1903-1908. Wtedy dawał kwatery Aleksandrowi Sulikiewiczowi, gdy ten przyjeżdżał do stolicy. Sulikiewicz wolał zatrzymywać się poza Petersburgiem, nie zwracając uwagi policji. Sulikiewicz, jak wiadomo, zajmował się przewożeniem przez granicę z Prusami tzw. bibuły, czyli nielegalnej prasy socjalistycznej (głównie: „Robotnik”) i broszur.

Okres przed rewolucją 1905 roku upłynął socjalistom pracowicie. A. Sulikiewicz bywał u Stankiewiczów niejednokrotnie. Właśnie w tym środowisku polskim poznał swoją przyszłą żonę. Przyjaźń między rodzinami Sulikiewiczów i Stankiewiczów utrzymała się także w następnym pokoleniu. Kontakty utrzymywali: Kazimierz syn Waclawa i jego żona Helena z Zanów Stankiewiczowa z rotmistrzem Sulikiewiczem, i jego żoną. Oba małżeństwa po II wojnie światowej zamieszkały w Warszawie. Tylko nie od razu. Mężczyźni, Kazimierz

<sup>1</sup> S. T. Sroka, *Waclaw Stankiewicz (1866-1940), Polski Słownik Biograficzny, t. XLII, 2003, s. 214-215.*

<sup>2</sup> J. Tyszkiewicz, *O polskiej symbolice patriotycznej XIX stulecia, Kwartalnik Historii Kultury Materialnej, R. 42, 1994, № 2, s.219-232.*

i Aleksander, aresztowani i uwięzieni przez NKWD w Wilnie, musieli przeżyć przeszło 3 lata ciężkiej pracy w łagrach<sup>3</sup>. Rotmistrz A. Sulkiewicz, kiedy go poznałem u wuja Kazimierza, podkreślał wartość historyczną i praktyczną pracy Stanisława Dziadulewicza: *Herbarza rodzin tatarskich* (Wilno 1929). I miał zupełną rację. Kiedy rozmawiałem z rotmistrzem 50 lat temu, nie znałem jeszcze bliżej *Herbarza*, zajmowałem się archeologią i dziejami pierwszych Piastów.

Drugi epizod sprzed stulecia dotyczy pracy zawodowej Wacława Stankiewicza i sięga również czasów sprzed I wojny światowej. Otóż Dziadek, jako asystent pracujący w uczelni leśnej, postanowił opracować monografię naukową, poświęconą lasom w Cesarstwie Rosyjskim. Dla Polaka zajmowanie się lasami z obszaru dawnego państwa polsko-litewskiego było niemożliwe, służbowe ułatwienia czy dostęp do map i planów nie wchodziły w rachubę. Po pierwsze należało uzyskać zgodę uczelni i ministerstwa na plan pracy; po drugie otrzymać skierowanie do prowadzenia pracy w terenie; po trzecie mieć pisemne poparcie liczących się profesorów, co dawało szansę na opublikowanie wykonanego opracowania. Prace w lesie, w terenie, można było wykonywać podczas wakacji, ale potrzebna była przychylność uczelni dla uzyskania wsparcia finansowego na wyjazdy i pracę w lesie oraz na otrzymanie urlopu lub stypendium, żeby szybciej ukończyć opracowanie.

Wacław Stankiewicz wybrał do opracowania przyrodniczego, gospodarczego i administracyjnego, lasy Krymu. Postanowił gruntownie rozpoznać zbiorowiska leśne w tej

krajinie geograficznej, dokonać opisu i klasyfikacji lasów pod względem fitosocjologicznym i dokonać projektu ich trwałego i nowoczesnego zagospodarowania. Dziś prace nad życiem zbiorowisk roślinnych w ich związku z glebami i klimatem nazywamy ekologią. Dyskusje i badania naukowe, nad naturalnymi procesami i rozwojem różnych formacji roślinnych, były wówczas w Rosji gorące i owocne. Kilkunastu autorów publikowało różne rozważania teoretyczne, podręczniki i praktyczne przewodniki dla leśników w terenie. Stankiewicz był asystentem prof. A. F. Rudzkiego, który również poważnie zajmował się tą problematyką od 1881 roku<sup>4</sup>. Po ukończeniu studiów w 1890 roku W. Stankiewicz pracował w północnych guberniach, porządkując eksploatację szaty leśnej w górnym dorzeczu Wołgi, docierając do Gór Ural. Zgłosił temat opracowania lasów górskich na Półwyspie Krymskim.

Po otrzymaniu aprobaty z uczelni i ministerstwa W. Stankiewicz poprowadził studia i prace które trwały blisko trzy lata: 1904–1906. Lasy krymskie znajdowały się prawie wyłącznie w górach, tworząc różne piętra roślinności. Po zajęciu Chanatu Krymskiego i jego włączeniu do Cesarstwa Rosyjskiego w 1783 roku wszystkie lasy zostały upaństwowione, przejęte przez administrację rosyjską. Ułatwiło to badania ale tylko w pewnym zakresie. Sto dwadzieścia lat władzy i gospodarki zaborcy charakteryzowało się intensywną eksploatacją zasobów drewna, zwłaszcza w niższych partiach gór. Było to częściowo uzasadnione dużymi potrzebami na ten surowiec ponieważ najbliższe większe kompleksy leśne znajdowały się

<sup>3</sup> Por.: W. Wiśniewski, *Pani na Berżenikach. Rozmowy z Heleną z Żanów Stankiewiczową*, Londyn 1991.

<sup>4</sup> G. I. Dochman, *Istoria geobotaniki w Rossii*, Moskwa 1973, s. 42-71 i inne.



Wacław Stankiewicz



W górach Krymu

w średnim biegu Dniepru. Ludność zamieszkująca Półwysep Krymski na przełomie XIX i XX w. była zróżnicowana etnicznie i kulturowo. Najlicniejszą grupę stanowili Tatarzy krymscy (ok. 60%), na resztę składali się Rosjanie, Grecy, Żydzi, Karaimi i inni. Urzędnicy leśni i leśna służba terenowa składała się z Rosjan i Tatarów.

Zalety osobiste Wacława Stankiewicza, ale również fakt, że był Polakiem, pozwoliły mu nawiązać dobre stosunki z miejscowymi leśnikami, zwłaszcza zamiłowanymi w swojej pracy niższymi funkcjonariuszami z miejscowej ludności. Wiem to od żony Wacława, która o tym relacjonowała wielokrotnie. Mogło być odwrotnie, skoro był on oficjalnie skierowany z Moskwy, na podstawie dokumentów zapoznawał się z działaniami administracji leśnej z minionego stulecia, stwierdzał nieprawidłowości, błędy w nasadzeniu, wyrębie, zmniejszaniu powierzchni upraw itd. Urzędnicy rosyjscy byli podejrzliwi i mało chętni do współpracy. Wyrąb lasów na Krymie był intratnym przedsięwzięciem. Pod koniec XIX w. niżej rosnące lasy wycięto, pozostały mało zagospodarowane nieużytki. W górach krymskich poruszał się W. Stankiewicz prawie wyłącznie konno. Po wąskich i spadzistych ścieżkach można było tylko iść albo jechać na odpowiednim koniu. W trudniej dostępne partie lasu, bliżej szczytów i w skalne doliny, doprowadzali go strażnicy leśni i niższa służba leśna, prawie wyłącznie składająca się z miejscowych Tatarów.

Trudno dzisiaj zrelacjonować szczegółowej sytuacji i przebieg wypadków. Jest faktem, że Polak z dalekiego Petersburga, stolicy Rosji, zyskał przychylność i pełne zaufanie miejscowych leśników tatarskich. Mógł rozmawiać z nimi o historii Polski i Chanatu Krymskiego, mógł przychylnie wypowiadać się o dążeniach niepodległościowych narodów podporządkowanych przez Rosjan. Miał kontakty z PPS-em; zbliżała się rewolucja 1905 roku<sup>5</sup>. Miejscowi leśnicy oprowadzali go, wyjaśniali i informowali o dawnym charakterze poszczególnych ostępów leśnych. Wyczerpujące odpowiedzi pozwalały uzupełniać braki w dokumentacji oficjalnej. Plan pracy, w zakresie ekologii, botaniki, gleboznawstwa, urządzania lasów i ich racjonalnego zagospodarowania (planowany wyrąb, sadzenie nowych upraw, planowanie sieci dróg itd.) był rozbudowany.

W drugim roku znajomości z W. Stankiewiczem starsi wiekiem Tatarzy leśnicy, odbyli między sobą naradę i poprosili go o rozmowę. Wszyscy mieli zawodowe wykształcenie i zorientowali się, że młody badacz jest dobrym leśnikiem i botanikiem. Postanowili mu przekazać swoje przypuszczenia ukrywane przed Rosjanami. Już przed paru dziesiątkami lat – ok. 1880 roku – leśnicy tatarscy stwierdzili, że w szczytowych partiach gór krymskich rosną małe zagajniki sosnowe, różniące się od sosen z nizin (*Pinus silvestris*). Słusznie uważali, że mają do czynienia z endemicznym gatunkiem sosny, występującym wyłącznie w Górach Krymskich. Zjawisko to trzeba było jednak fachowo i dokładnie zbadać, stosując odpowiednie metody i kryteria botaniczne. Należało naukowo udowodnić i opublikować fakt odkrycia nieznanego gatunku sosny. Leśnicy tatarscy powiedzieli W. Stankiewiczowi: „Mamy



na szczytach gór swoją sosnę, ale nie chcieliśmy o tym mówić przybyszom i leśnikom rosyjskim. To była nasza tajemnica. Ale wy badacie bardzo dobrze i szczegółowo. Będziecie mieli okazję opracować i ujawnić ten gatunek. Wam powierzamy tę sprawę.” Tak zrelacjonowała sprawę żona Wacława, Maria z Woyczyńskich Stankiewiczowa, w sierpniu 1958 roku. Relacja oddaje z pewnością sens ich wypowiedzi, chociaż nie może być dosłowna. Rozmawiano po rosyjsku, tak więc zwrot Tatarów do W. Stankiewicza rozumieć należy oczywiście: „wy”, tzn. „panie inżynierze”. Warto też podkreślić ogólniejszy sens wypowiedzi Tatarów: nasze góry, nasza sosna, nasza tajemnica i nasza z tego duma; poczucie odrębności narodowej i patriotyzmu krymskiego. Polak był przyjaznym specjalistą, któremu powierzono zadanie.

Dziadek został zaprowadzony do trudno dostępnych miejsc, w górnych partiach lasu. Odwiedził je parokrotnie. Zrobił zdjęcia aparatem fotograficznym. Wziął do badań botanicznych: gałązki, szyszki, kwiaty, korę itd. Odkrycie konsultował z botanikami. W 1906 r. kolega Stankiewicza, Włodzimierz Sukaczow, opublikował studium pt. „*O nowoj krymskiej sosnie*” w *Botaniczeskim Żurnale*. Sosnie krymskiej nadano łacińską nazwę *Pinus Pityusa Stev. var. Stankiewiczzi*. W 1907 r. ukazało się naukowe studium W. Stankiewicza o lasach Krymu pt. „*Iz lesow gornogo Kryma*”<sup>6</sup>. Gatunek sosna (*Pinus*) dzieli się na liczne populacje rozrzucone terytorialnie, zwłaszcza w górach. Odnaleziona w pocz. XX w. sosna krymska w pełni potwierdza ten stan rzeczy. W opisie W. Stankiewicza, prócz fachowych ustaleń leśniczych, urzędniowych i zaleceń na przyszłość, znajdujemy charakterystykę

<sup>5</sup> Sz. U. Mustafajew, *Ewolucja samosoznania, (w) Krymskiej tatarzy: problemy repatriacji*, red. A. R. Wjatkin, E. S. Kulpin, Moskwa 1997, s. 20-23 i in.

<sup>6</sup> W. Stankiewicz, *Iz lesow gornogo Kryma, Izwiestija Imperatorskogo Lesnogo Instituta*, St Petersburg 1907, ss. 250; jako załącznik do tej edycji dokonano przedruku artykułu W. Sukaczowa o nowym gatunku sosny.

zespołów leśnych, podlegających zarządowi leśnemu. Udział gatunków drzew leśnych przedstawiał się w 1905–1906 roku jak następuje: dąb 64%, buk 25,5%, sosna 5%, grab 4,93%, osika 0,5%, pewną powierzchnię w lesie zajmowały gaje leszczynowe (0,07%). Zręby zupełne powodowały erozję; lasy były ogólnie zaniedbane. Aż 46% powierzchni administrowanej przez służby leśne pokrywały lasy odroślowe, pozostawione bez stosownej pielęgnacji.<sup>7</sup>

W. Stankiewicz w 1908–1916 pracował w Zarządzie Rolnictwa i Dóbr Państwowych w Moskwie. Wiosną 1920 przyjechał z rodziną do Polski. Otrzymał w Warszawie stanowisko naczelnika Wydziału Urządzania Lasów w Depar-

tamencie Leśnictwa, które sprawował w l. 1920–1931. Od 1921 uczestniczył w tworzeniu parków narodowych w Polsce: Parku Białowieskiego, Parku Pienińskiego i Parku Tatrzańskiego. Podtrzymywał kontakty ze swoimi kolegami, którzy również przyjechali do Polski. Stosunki polityczne w okresie międzywojennym (1920–1939) wykluczały wyjazdy na Krym czy do Rosji; dawne związki z innymi znajomymi zostały przerwane. Natomiast kontakty towarzyskie z niektórymi rodzinami tatarskimi kontynuował jego syn Kazimierz Stankiewicz. Kazimierz, o którym wspomniano wyżej mieszkał na północnej Wileńszczyźnie do 1944. Wacław Stankiewicz, zgodnie ze swoją wolą, został pochowany na podwarszawskim cmentarzu pod starą sosną.

Jan Tyszkiewicz ■

<sup>7</sup> S. Tyszkiewicz, *Wspomnienie o Wacławie Stankiewiczu (1866-1940)*, *Sylvan*, t. 110, 1966, № 9, s. 69-78. Por.: W. Szafer, *Ogólna geografia roślin*, Warszawa 1964; o populacjach i podgatunkach sosny w Europie – s. 121-122, ryc. 55 (mapa) i in.

Stawomir Hordejuk

## Tatarski poeta

W posłowiu do wydanej w ubiegłym roku antologii poetyckiej „Oto moje dziedzictwo” prof. Teresa Zaniewska napisała: *O Tatarach do dziś myślimy przede wszystkim jako o doskonałych żołnierzach czy dobrych znawcach fachu rymskiego, lecz Tatar-poeta? To znacznie wykracza poza stereotypowe widzenie naszych współbraci. [...] Dlaczego przez ponad sześć wieków stroniła od Tatarów Kalliope, boska opiekunka poezji?* Powyższe słowa nie do końca oddają prawdę, a przeszłość bardzo często nas zaskakuje. Podobnie jest z dziejami Tatarów polsko-litewskich.

Niewiele osób słyszało zapewne o majorze Macieju Achmatowiczu (1820-1901), piszącym wiersze już w II poł. XIX wieku! Ze względu na to, że wydanie wówczas tomiku w języku polskim było niemożliwe (zabór rosyjski), autor składał teksty do szuflady. Jego tomik poetycki pt. „Wiersze” ukazał się dopiero w 1933 r., a więc 32 lata po śmierci Achmatowicza. Opublikowany został w Wilnie w wydawnictwie Polska Drukarnia Narodowa „Lux” staraniem jego potomków, którzy we wstępie napisali: *Rodzina Macieja Achmatowicza niniejszym wydając tę część jego poezji, przeznaczoną do rodzimego użytku, chce złożyć hołd jego pamięci i utrwalić część dla niego wśród potomstwa.* Warto nadmienić, iż wydanych zostało zaledwie 100 egzemplarzy tomiku, a do dziś zachowało się w Polsce tylko kilka sztuk.

Utworki zamieszczone w tomiku powstawały w latach 1879-1888. Pisane są piękną polszczyzną w formie rymowanych dwuwierszy. Niektóre z nich noszą znamienne tytuły, jak np. „Dobra żona”, „Zazdrość małżeńska”, „Wybór żony”, „Kobiece języczki”, „Rachunek żony”, „Miarkuj się”. Większość poświęcona jest najbliższym i przyjaciółom m.in. córce Marii z Achmatowiczów Kryczyńskiej (1862-1931); płk. Konstantemu Kryczyńskiemu (1847-1924), Amelii i Rozalii

Kryczyńskim, Józefowi Kryczyńskiemu (1846-1918), radcy stanu, właścicielowi Rowów w powiecie oszmiańskim.

Rzecz znamienna, że Maciej Achmatowicz swoje pierwsze wiersze zaczął pisać, mając blisko 60 lat. Powstawały one w Wilnie, Horodziłowie i Bergaliszkach. Wiersze mają charakter moralizatorski, okolicznościowy i satyryczny. I tak np. wiersz pt. „Zabawy publiczne” zachęcał do organizacji dorocznych balów tatarskich. Odbywały się one już w latach 90. XIX w. W utworze „Autoportret” Maciej Achmatowicz pisze o sobie i wyjaśnia, skąd wzięła się u niego potrzeba tworzenia poezji. Z kolei wiersz „Kobiece języczki”, pomimo, iż powstał blisko 130 lat temu, jest aktualny także dzisiaj. Oto jego fragment:



*Starcie się opinii, plotki i obmowy  
Idą równie z rozumnej, jak i głupiej głony,  
Chociaż wielka różnica wśród nich panuje,  
Lecz i głupstwo często w świecie imponuje.  
Niech żyje krytyka! Ona tego nie boli,  
Kto unika występku, rozpusty, swawoli,  
Kto ma pewną zacność i nie krzywdzi ludzi,  
W tym na pewno krytyka złości nie obudzi  
Kto zaś za sobą grzechów wiele czuje,  
Przeciw krytyce, pieniać się wojuje  
[...]*

A teraz kilka słów o samym autorze wierszy. Okazją do przybliżenia postaci Macieja Achmatowicza jest 110. rocznica jego śmierci. Maciej Machmet Achmatowicz urodził się 1 kwietnia 1820 r. w rodzinnym majątku Bergaliszki w Oszmiańszczyźnie. Był synem Felicjanny z Zabłockich (zm. 1881 r.) i Alego Aleksandra Achmatowicza, sędziego granicznego, w 1831 r. regimentarza (dowódcy) w Oszmianie z ramienia powstańczego Komitetu Narodowego. Jego dziadek, płk Mustafa Achmatowicz, służył w 4 Pułku Litewskim Przedniej Straży. Brał

udział w wojnie polsko-rosyjskiej (1792) oraz w Powstaniu Kościuszkowskim (1794). Po śmierci dowódcy, gen. Józefa Bielaka (czerwiec 1794), objął komendę nad pułkiem. Zmarł 10 października 1794 r. z ran odniesionych w bitwie pod Maciejowicami. Jego imię nosił Pułk Tatarskiej Jazdy z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920.

Maciej Achmatowicz miał czworo rodzeństwa: Abrahama, Jana, Bernarda i Marię. Niektóre źródła podają, że z wykształcenia był prawnikiem wojskowym. Służył w litewskim 5 Pułku Ułańskim, gdzie doszedł do stopnia majora. Brał udział m.in. w kampanii węgierskiej (1849) oraz krymskiej (1855). Jako cieszący się powszechnym uznaniem i szacunkiem, wybrany został marszałkiem szlachty pow. oszmiańskiego. Z małżeństwa z Heleną z Tuhan-Mirza Baranowskich miał ośmioro dzieci: Aleksandra, Stefana, Bohdana, Konstantego, Leona, Marię, Ewę i Elżbietę. Dwóch jego synów (Bohdan i Aleksander), podobnie jak ojciec było prawnikami. Maciej Achmatowicz zmarł 8 sierpnia 1901 r. w Bergaliszkach. Pochowany został na mizarze w Łostajach.

Najstarsze wzmianki o Tatarach w powiecie oszmiańskim pochodzą z przełomu XIV/XV w. Według „Herbarza rodzin tatarskich w Polsce” S. Dziadulewicz, Achmatowiczowie pojawili się na terenach Litwy po bitwie pod Grunwaldem. Stanęli wówczas na czele chorągwi juszyńskiej. Za udział w bitwie otrzymali rozległe majątki (m.in. Krejwany, Czerwony Dwór, Ustary, Rohotna, Staryńki, Urukowie, Trepuny, Krasne Siolo). Można więc przyjąć, iż Maciej Achmatowicz wywodził się bezpośrednio z kniaziów Juszeńskich. Achmatowiczowie cieszyli się szczególnymi względami króla Kazimierza Jagiellończyka (1427-1492). W kolejnych latach ród ten osiedlił się w różnych częściach Litwy (Waka, Kąty, Kumelelany, Horodilów).

Rodowe siedziby Achmatowiczów to Bergaliszki (od XVIII w.), a od 1869 r. także Teniukowszczyzna. W okresie międzywojennym rodzina nazywała to miejsce Osmanówką. W 1898 r. Maciej Achmatowicz testamentem zapisał majątek dla syna, Aleksandra Achmatowicza (1865-1944), jednego z najbardziej znanych członków tego rodu. Przyjaciół (jeszcze z lat szkolnych) Marszałka Józefa Piłsudskiego. Z wykształcenia prawnik, prezes Centralnego Komitetu Związku Tatarów Polskich, Litwy, Białorusi i Ukrainy (1917-1918). Minister sprawiedliwości w rządach Krymu (1918-1919), dyrektor Departamentu Sprawiedliwości Litwy Środkowej (1920), adwokat i prezes Sędziów i Prokuratorów Ziemi Wileńskiej. W latach 1928-1930 senator II RP. Warto również zaznaczyć, że był głównym inicjatorem utworzenia Pułku Jazdy Tatarskiej im. Mustafy Achmatowicza (1919-1920). W pułku tym służyli jego synowie. Z kolei jeden z jego synów, prof. Osman Achmatowicz (1899-1988), był zasłużonym naukowcem i wybitnym chemikiem, wykładowcą na Uniwersytecie Wileńskim, dziekanem Wydziału Farmaceutycznego Uniwersytetu Warszawskiego, rektorem i doktorem honoris causa Politechniki Łódzkiej, wiceministrem Szkolnictwa Wyższego, członkiem PAN. Jego synowie, Selim i Osman, również są chemikami.

Cale dzieciństwo i młodość Macieja Achmatowicza kształtowane były przez opowieści rodzinne o przodkach. Jego ród zapisał piękne i chlubne karty w dziejach Rzeczypospolitej. Achmatowiczowie byli wybitnymi żołnierzami i dowódcami, prawnikami, lekarzami, naukowcami, politykami, a przede wszystkim wielkimi patriotami. Przez sześć wieków odegrali znaczącą rolę w historii Polski. Do grona zasłużonych członków tego rodu zalicza się także major Maciej Achmatowicz, tatarski poeta.

Slawomir Hordejuk

Maria Radecka

## Moje wspomnienia (I)

*Dzieje Słonimskiej Parafii Muzułmańskiej w XX wieku spisane na podstawie wspomnień Słonimian w kraju i rozszaniach na świecie, a historię powstawania miasta wg książki pt. „Słonimszczyzna waczyma nawukoucau i krajażnaucau”, wydanej w roku 2002 w Słoniem dla upamiętnienia 750-lecia miasta i dla wężczenia 70-lecia powstania Muzeum Rejonowego im. Józefa Stabromskiego.*

### Część I. Parafia S ł o n i m

Ruska kronika Księstwa Halicko-Wołyńskiego<sup>1</sup> wspomina Usłonim około roku 1252. W wyniku działań wojennych w końcu XIII w. miasto należy już do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chorągiew Słonimska bierze udział w bitwie pod Grunwaldem. WKL Witold osadza małe oddziały Tatarów jako straż graniczną, ale ich siły są niewystarczające. Na początku XVI w. Słonim był napadany i niszczone przez Tatarów Sich-Achmata, a potem mocno złupiony przez

krymskiego chana Mengli-Gireja. W następstwie tego Słonim płacił im daninę zwaną ordynszczyzna (tkaniny, płótno i inne wytwory ludów osiadłych). Z czasem miasto się rozwija, a król polski Zygmunt III Waza w 1591 roku nadaje mu pieczęć i herb. Miasto należy wtedy do rządzącego starosty Lwa Sapiehy i herb miasta pochodzi od tego magnackiego rodu. Na przełomie XVI i XVII wieku zjawiają się pierwsi osadnicy tatarscy, ale nie wiadomo skąd oni przyszli. Początkowo jest kilka, potem kilkanaście domów. Żyją z rolnictwa na nadanych im ziemiach i zwani są Tatarami gospodarskimi. Z czasem ubożeją zapożyczając się na zakup wyposażenia wojskowego, ponieważ byli zobowiązani do pełnienia służby na własny koszt. Okoliczna szlachta przejmując za długi ich ziemię, spycha Tatarów na pozycje wyrobników, ogrodników, wozaków, garbarzy.

Od roku 1717 w oficjalnych dokumentach wspomniana jest ulica Tatarska, jako granica posiadłości jezuitów. Wkrótce powstaje też zaułek Tatarski. Od XVI w. język tatarski

<sup>1</sup> Ta kronika średniowiecznej Rusi przetrwała w Ipat'jewskim monasterze, znanym sanktuarium rosyjskiego prawosławia (leży przy ujściu rzeki Kostromy do Wolgi, opodal miasta Kostroma).





*Wizyta muftiego Jakuba Szynkiewicza w Stonimie, maj 1931 r. Obok z laską imam stonimski Kamber Smolski. Od lewej stoją Roman Bajraszewski, ?, starszy pan Muchla, Ra, azan Szegidencz („Soldacik”), państwo Bielakowie, em. płk Adam Bajraszewski z żoną Zejnabą, em. gen. Abraham Aleskandrowicz, sekwestrator Jasiński (w białej czapce, jego córka Fatyma to była żona Aleksandra Lisowskiego ze Studzianki), muezyn Sulejman Szczęsnownicz (w meloniku), em. płk Maciej Bajraszewski z żoną Zorą.*

zaczyna wychodzić z użycia. Wynika to, jak się zdaje, z faktu, że wojownikom tatarskim pozwolono żenić się z miejscowymi kobietami (Litwinkami, Polkami, Rusinkami). Bo w jakim języku przemawia matka do swego dziecka? Wiadomo, że we własnym. A ojcowie mogli ich tylko nauczyć czytać Koran i chamajeli i pisać litery arabskie. Gdy zachodziła potrzeba, to zapisywano ważne fakty z życia używając liter arabskich. Z czasem pozostał tylko liturgiczny język arabski i kilka słów po tatarsku. Językiem codziennym stał się język polsko-białoruski, którym władano tylko w mowie.

Powoli powstaje załęczek gminy wyznaniowej muzułmańskiej. Są informacje, że w 1756 r. istniał już dom modlitwy. W 1804 r. zbudowano meczet, który spłonął w wielkim pożarze miasta w 1881 r. W dwa lata później, dzięki hojności hr. Franciszka Pusłowskiego, właściciela majątku Albertyn, który ofiarował drewno na budowę nowej świątyni, zbudowano nowy duży meczet, który spłonął w 1944 r. w wyniku działań wojennych.

Po zakończeniu I wojny życie było bardzo trudne. Przemarsze wrogich wojsk wyniszczyły i zubożyły miasto. W miarę upływu czasu wracało jednak do normalności i pojawiały się nowe nadzieje. Po koszmarach wojny widać już było perspektywy nowego życia. Wprawdzie miasto nie miało przemysłu<sup>2</sup> i tak potrzebnych miejsc pracy, ale zaczęły powstawać szkoły. Jak było przed rozbiorami, tak jest i teraz – Stonim staje się ramieniem polskości, kultury i religii Zachodu wyciągniętym daleko na Wschód. W 18-tysięcznym mieście (bez wojska) były dwie duże koedukacyjne szkoły powszechne, jednak prywatna żeńska u Sióstr Niepokalanek (gdzie uczęszczało wiele małych dziewczynek tatarskich), 3 gimnazja i 2 seminaria nauczycielskie (męskie i żeńskie). Były też szkoły powszechne żydowskie.

<sup>2</sup> Były tylko prywatne tartaki.

Był powojenny wyż demograficzny. Stonim zajmował czwarte miejsce co do ilości muzułmanów w Polsce. W 1938 r. było nas 413 osób. Gdy patrzyło się na ul. Tatarską, to widziało się typową ulicówkę zabudowaną po obu stronach. Numerów administracyjnych było ok. 50 (drugie tyle Tatarów stonimskich mieszkało we własnych domach rozproszonych po całym mieście). Niektóre domki przy ul. Tatarskiej były bardzo stare. Prawie wszystkie stały frontem do ulicy. Był domek, furtka i brama wjazdowa - i to była cała szerokość parceli. Za domem małe podwórkó, szopa na opał, czasem obora lub stajnia. A dalej długi ogród warzywny. Wszystko to razem wynosiło ok. 1400 m. kw. Dla niektórych to było całe mienie. I z czego tu żyć?<sup>3</sup>

W 1938 roku widzimy, że niektóre parcele miały szerokość dużą większą. Prawdopodobnie wynikało to z układów rodzinnych – posagów, kupna lub sprzedaży. W ciągu trzech wieków wiele mogło się wydarzyć. Ale kto na początku tworzenia ul. Tatarskiej osadził ludzi na tak małych płachetkach ziemi. Z czego oni żyli? Czy byli rzemieślnikami?

Z historii i przekazów wiemy, że na Wileńszczyźnie i Podlasiu wojownicy tatarscy przybyli w XVII w. całymi chorągwiami ze swoimi rotmistrzami i mirzami otrzymywali bardzo duże nadziały ziemi liczone we w ł ó k a c h. Włóki używane w Polsce były różne. Na Podlasiu włóka chełmińska miała ponad 16 ha ziemi (pól, lasów i łąk) i to był okazały majątek. W Sokółskim, w okolicy wsi Bohoniki i Malewicz (oraz innych) były ogromne nadziały ziemi dla wojowników tatarskich, ciągnące się daleko poza szosę do Krynek z jednej strony i hen daleko w drugą. Miejscowi mówią, że to była Tatarszczyzna. Jeszcze dziś mieszkańcy wioski Drah-

<sup>3</sup> Znany jest fakt, że w latach trzydziestych 20 w. niemłoda już pani Muchłowa chciała się rzucić pod pociąg z biedy i niedostatku. Tor kolejowy był niebezpiecznie blisko tatarskich ogrodów.

le – z terenów dawnej Tatarszczyzny – pamiętają, że przed zniesieniem pańszczyzny ich przodków nazywano z rosyjska „sześcidniwniki”, bo byli zmuszani świadczyć sześć dni pańszczyzny w tygodniu.

Ale wróćmy do czasów międzywojnia. Jeżeli był meczet, to był i imam. Na imama w Słonimie wybierano starszego wiekiem doświadczonego parafianina, który cieszył się autorytetem. Czuwał nad przestrzeganiem zwyczajów i tradycji przekazanych przez przodków. Wiadomo, że niemowlęta płci męskiej należało obrzezać i tę czynność na początku XX w. wykonywali specjaliści żydowscy. A czy dziś ktoś pamięta o achreciach lub achretkach? Był to stary tatarski obyczaj. Gdy dziewczynka nie ma siostry (bracia są inaczej wychowywani), a bardzo jej brak kogoś w tym samym wieku, to przeważnie przelewa swe uczucia na najbliższą przyjaciółkę. Pragnie, by to uczucie utrwalić i zachować na całe życie. Jeżeli obie pary rodzicielskie się zgodzą, to wszyscy udają się do imama, a ten czyta odpowiednią modlitwę i ogłasza, że teraz są one prawdziwymi siostrami - achretkami. Przeważnie snują dalekosiężne plany i marzą, że kiedyś ich dzieci połączą się węzłem małżeńskim.

Znaliśmy jeszcze taką achretkę – pani Bogdanowiczową z Wileńszczyzny, repatriowaną po II wojnie do Pruszcza Gdańskiego. W młodości planowała, że jej córka Raisa wyjdzie za mąż za syna jej achretki, Alego Aleksandrowicza.<sup>4</sup>

Nie mamy kroniki parafii słonimskiej. Podstawą dla nas są dokumenty przechowywane w rodzinie. Stąd wiemy, że byli imamowie:

\* Mustafa Bohuszewicz – zachowała się wystawiona przez niego metryka z 1875 r. Imamował prawdopodobnie do 1884 r.

\* Jakub Smolski – imamował 38 lat (1884-1922). Miał żonę Szaryfę.

<sup>4</sup> Pochodził z Wileńszczyzny. W późnych latach czterdziestych XX w. studiował Orientalistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Już nie żyje. Był żonaty z katoliczką. Ich córka mieszka w USA.

\* Mustafa Radkiewicz – imamował w latach 1922-1929. Syn Stefan Radkiewicz, wnuczka Helena Radkiewicz.

\* Kamber Smolski – imam od r. 1929.

Imamowie byli przewodnikami Tatarów i dobrymi obywatelami polskimi. Co piątek odprawiano modlitwę południową (dżumia). W czasie Ramazanu co dzień wieczorem zapalano świece i modlono się tarawich. Pierwszego dnia najważniejszych świąt modlono się przy bardzo dużej frekwencji wiernych. Ramazan Bajram obchodzono 3 dni, Kurban Bajram 4 dni. Przy składaniu życzeń świątecznych mówiono „Kutlum Bajram!” (pozdrawiam świątecznie) lub „Szeryf Bajram!” (radosnych świąt). Modlono się też w szyckie święta Mewlud i Aszura .

11. Listopada i 3. Maja modlono się w intencji pomyślności Państwa Polskiego i na to nabożeństwo przybywał delegat władz miejskich lub wojskowych.<sup>5</sup>

Przed II wojną światową kurbany – zwierzęta ofiarne – ofiarowywano rzadko. Ostatni taki fakt zanotowano w Słonimie w latach trzydziestych XX w., kiedy trzyletniego byczka wyhodował w gospodarstwie swojej pierwszej żony Ramazan Szegidewicz<sup>6</sup>. Zwierzę było zabite zgodnie z rytuałem, ale do fachowego podzielenia tuszy był zaangażowany Żyd – rzeźnik. Paczki z mięsem rozwoził jeden z gospodarzy do wszystkich Tatarów mieszkających w Słonimie. Najbiedniejsi otrzymywali najwięcej najlepszego gatunkowo mięsa. Należało je spożyć bogobojnie (bez napojów wysokowych), a kości – spalić.

<sup>5</sup> W koszarach słonimskich mieściła się Podchorążówka piechoty, były 79 i 80 pulki piechoty, baon saperów. Na przysięgę żołnierską, jeżeli brali w niej udział żołnierze –Tatarzy, zapraszano imama Słonimskiego. Przysięgano na Koran. Wnuki imama Radkiewicza mają piękną fotografię przedstawiającą powitanie wojska wracającego z letnich manewrów. Widać sztandar pułkowy i żołnierzy w owijaczach. To było w latach 20. XX w. Wśród notabli miejskich stoi – z odkrytą głową – oddając cześć sztandarowi pułkowemu – imam Mustafa Radkiewicz.

<sup>6</sup> Był bardzo dobrze przygotowany do imamowania ale Słonim nie wybrał go. Tak, to ten sam Ramazan Szegidewicz, którego jeszcze pamiętają w Suchowoli jako „Soldacka”, chociaż chodził w mundurze polskim.



*Po nabożeństwie, sierpień 1936 r. Po lewej stronie imama Kambera Smolskiego siedzi em. gen. Abraham Aleksandrowicz (przewodniczący gminy), po prawej em. płk Maciej Bajraszewski, obok mężczyzn Sulajman Szczęsnomowicz. Po lewej stronie gen. Aleksandrowicza siedzi organizator „Strzelca” Jakub Szegidewicz. Z dziećmi siedzi Tatar kazaniecki Kambirum. Fot. Dereczynski, Słonim*

Dziś wiemy, jak to się odbywa w innych krajach. Np. w Finlandii (Helsinki), gdzie od czasów carskich mieszka wielu muzułmanów, niekiedy bogatych kupców. Ofiarne zwierzę zabija się w rzeźni, a mięso spożywa się w świątecznie podniosłym nastroju siedząc za wspólnym stołem we własnym klubie w wizytowym, wieczorowym stroju. Wędrowcy, czyli przyjezdni muzułmanie są bardzo serdecznie zapraszani na tę ucztę.

Jak to się dzieje w Arabii Saudyjskiej wiemy z opowiadań licznych teraz pielgrzymów polskich. W Mekce jest specjalnie do tego celu powołana instytucja, która zajmuje się dostarczaniem zwierząt ofiarnych (baranów, wielbłądów). Bywa tak, że kilka osób ofiarowuje jedno duże zwierzę. Po wpłaceniu odpowiedniej sumy, ofiarodawca jest powiadamiany kiedy i gdzie może zabrać 1/3 mięsa swego kurbana. Ubój odbywa się w rzeźni. Ofiarodawca (lub ofiarodawcy) otrzymuje 1/3 część zwierzęcia. Następna trzecia część mięsa jest przeznaczona do rozdania gminie jako dar. Z takich darów gmina utrzymuje domy starców, internaty itp., a w razie potrzeby rozsyła potrzebującym muzułmanom na całym świecie. Dziś to mięso jest przechowywane w ogromnych chłodniach. Dawniej przechowywano je w stanie wysuszonym.

W Słonimie lat trzydziestych XX w. fotografowano się chętnie przed meczetem. Zdjęcia wykonywali zawodowi fotografowie słonimscy, Żydzi Dereczyński lub Borys Weistein. Dzięki temu mamy fotografie gości i parafialnych działaczy.

W latach trzydziestych XX w. przewodniczącym Parafii Słonimskiej był em. gen. armii carskiej, radny miejski Abraham (Albert) Aleksandrowicz, wielki i dyskretny filantrop, pomagający ubogim, co czwartek dokarmiający sadogą<sup>7</sup> dzieci ze szkółki religijnej. General i jego żona zmarli po zakończeniu II wojny z biedą i chorob.

Sekretarzem parafii był Stefan Radkiewicz, który skrzętnie gromadził materiały fotograficzne i przeniósł je przez II wojnę, dzięki czemu znamy ciekawe fakty i wiemy o wielu osobach. Po II wojnie przeffotografował je własnym sumptem i chętnie ofiarowywał je wychodźcom ze Słonima. Prócz tego dokumentował na kliszy wiele spotkań z rodakami. Zmarł w Jeleniej Górze, a pochowany jest w Bohonikach obok swej żony Marii.

Imamem był Kamber Smolski, który zmarł w czasie II wojny. Po jego śmierci imamował Adam (Adalo) Miśkiewicz, a potem inni mężczyźni. Gdy ich nie stało, te obowiązki przejęła pani Maria Szegidewicz i przez długie lata była przewodniczką parafian. Zmarła w Słonimie w r. 2010 mając 101 lat.



*Byli sekretarz gminy w Słonimie Stefan Radkiewicz z żoną Marią i synem Lutem. Jelenia Góra, 1965 r.*

Muezzinem i nauczycielem w szkółce religijnej był Sulejman Szczęsnowicz, zwany Marszałkiem, któremu w pracy z dziećmi wydatnie pomagała żona Selima.

Dwa lata przed wybuchem II wojny Parafia zakupiła karawan konny dla godnego przewożenia naszych zmarłych na mizar. Na co dzień stał on w gospodarstwie Macieja Bajraszewskiego.

Prócz życia religijnego były potrzeby materialne. Kto nie miał ziemi lub pracy, był po prostu ubogi. Ale myślaro o nich i w latach trzydziestych XX w. Magistrat m. Słonima przydzielił nieodpłatnie 20 działek budowlanych parafianom niemającym ziemi, domu lub innych środków utrzymania. To były tzw. działki przy ul. Poniatowskiego.

Na marginesie – jeżeli porównamy poziom życia muzułmanów słonimskich przed II wojną z poziomem życia w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, to przyznać trzeba, że przed wojną żyło się bardziej oszczędnie: nabywano ziemię dla dzieci, szykowano posagi dla córek, w ogóle myślaro o przyszłości. W PRL było inaczej. Być może wynika to z doświadczeń ostatniej okrutnej wojny, kiedy można było w przeciągu paru minut stracić życie, mienie, często dorobek wielu pokoleń, a poza tym można było być aresztowanym lub wywiezionym w niewiadomym kierunku. Nie było już nawyku oszczędnego trybu życia, gdyż w latach pięćdziesiątych trwała zimna wojna i nie było pewności, co będzie na Ziemiach Odzyskanych. Ale ludzie, repatriowani ze wschodnich terenów rolniczych do uprzemysłowionych miast, mogli – jeżeli chcieli – dostać pracę. I to było ważne.

Lata szły. Z dzieci wyrosła młodzież i miała własne potrzeby. Myślaro o wybudowaniu Domu Parafialnego, ale to udało się wykonać dopiero w latach trzydziestych. A przedtem w latach dwudziestych założono Muzułmańskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. 4 sierpnia 1927 r. młodzież z własnej inicjatywy założyła Bibliotekę Parafii Muzułmańskiej w Słonimie. Parafianie ofiarowywali to, co kto miał. Harcmistrz Dawid Milkamanowicz, z zawodu nauczyciel, ofiarował na ten cel własną małą biblioteczkę szkolną. Niekiedy kupowano dla niej nowości literackie wg możliwości ofiarodawcy. Były też lektury szkolne. Swoje pierwsze „W pustyni i w puszczy” Sienkiewicza przeczytałam właśnie tam. Biblioteka po kilku latach liczyła parę setek książek i mieściła się w domu działacza i radnego m. Słonima, a potem opie-

<sup>7</sup> Sadogę w Słonimie rozdzielano przeważnie w dni pogrzebów i rocznic z tym związanych. Ofiarodawca sam podawał każdemu do ręki i modlił się półgłosem „Rebbienia tekabielminnia inniekie enteś siemi ul alim. La Illaha illellahu Muchammed resulullahu”. Znakomitą sadogę piekla pani Fatma Bajraszewska, babcia Stefana Milkamanowicza i dra Aleksandra Miśkiewicza.



Meczet w Slonimie (1883–1944), fot. Józef Szymańczyk

kuna społecznego dzielnicy – em. plka armii carskiej Adama Bajraszewskiego w jego domu przy ul. Tatarskiej 24, potem przy Zamkowej 23. Biblioteką i wypożyczalnią zajmowała się pasierbica pułkownika, Anserianna Smolska i jej matka Zejnaba Bajraszewska.

Tradycją Parafii były bale na bajramy, na które nie wpuszczano innowierców i nietrzeźwych. Odbywały się w największych salach w mieście. Na bale panny udawały się wraz z rodzicami. Młodzież tańczyła, a starsi siedzieli pod ścianami na krzesłach i patrzyli na młodzież. Ojciec wielu córek em. plk WP Maciej Bajraszewski patrzył na swoje córki i z zadumą i mówił „A ile ja jeszcze balów przesiedzę, zanim moja Zulejka wyjdzie za męż...”. Zula miała wtedy niewiele ponad 10 lat. Nie przesiedział jednak tych nocy na balach, bo wkrótce zaczęła się wojna. Pułkownika z żoną i sześciorgiem dzieci wywieziono na północ Rosji. Pułkownik oraz jego żona – pani Zora<sup>8</sup> i córka Zofia zostali tam na zawsze. Ale pozostałych pięcioro dzieci przeżyło wojnę walcząc w różnych armiach – Andersa i Berlinga. W Gdańsku mieszka jego córka Lejla, dziś doktorka Korycka. Doczekała się w Polsce dzieci i wnuków. Najmłodsza Zula ma dziś ponad 80 lat i mieszka we Wrocławiu.

Bale tatarskie miały dobrą opinię i zjeżdżali na nie goście z innych miast. Największą frekwencją cieszył się bal urządzany w rocznicę utworzenia biblioteki. Dochód z niego był przekazywany bibliotece. Trwały wakacje i młodzież mogła przyjechać na dłużej do licznych znajomych i krewnych. Prócz balu organizowano też inne imprezy, wyprawy do pobliskich lasów na grzyby lub jagody, albo na plażę zawsze czystej rzeki Szczary.

<sup>8</sup> Zora Konstantinowna z domu Kutlujarowa nie była Tatarką. Pochodziła z rodziny Paratów, osiadłych w Rosji.

Młodzież męska lubiła adorować przyjezdne panny. W pamięci pozostał Omar, syn em. plka WP Maciej Bajraszewskiego, zresztą znakomity pływak, kiedy wynurzył się z wody jak Wodnik i podał zaskoczonym pannom naręczce białych wodnych lilii. Pani Maria Dąbrowska w swojej słynnej książce „Noce i dnie” nie musiała niczego nowego wymyślać. Opisała to, co było. Wody były czyste, kwitły na niej kwiaty i adoracja była inna...

Przyjezdna młodzież obowiązkowo odwiedzała nasz miżar. Leży on w lesie, w odległości ok. 6 km od miasta. Ten kawałek lasu ofiarował rząd carski w XIX w. A gdzie grzebano wcześniej? Tego nie wiemy.

Podczas I wojny pochowano tam 11 żołnierzy – muzułmanów armii carskiej zabitych lub zmarłych z ran; żołnierze ci pochodzili z guberni ufimskiej i kazańskiej. Rząd carski ufundował im pamiątkowy obelisk z następującym napisem „Brat! jam Jedinoborcam, Gierojam i Zertwam Otieczestwiennoj wojny 1914 goda, skonczawszimsia ot ran w miestnych lazarietach 10 ijunia 1915 goda”.

Na pomniku jest półksiężyce i werset z Koranu. Stoi on do dziś. W latach trzydziestych XX w. Anserianna i Stefan Smolscy ufundowali tym żołnierzom 11 pomniczków z nazwiskiem każdego. W latach dziewięćdziesiątych daliśmy pieniądze na odnowienie podstawy obelisku.

Po II wojnie pochowano na mizarze muzułmanina z Rosji, żołnierza radzieckiego, który zmarł podczas pełnienia służby w Armii Czerwonej w Albertynie pod Slonimem.

Prawie przed każdym balem slonimskim była część artystyczna w wykonaniu miejscowej młodzieży żeńskiej (już od 8 lat). Młodzieży męskiej jakoś nigdy nie udało się na te imprezy namówić. Kierownictwo artystyczne spoczywało w rękach panien Bajraszewskich: Aminii (potem Aljewicz) i Zofia (po mężu Smajkiewicz), dalej siostr Milkamanowiczówn - Heleny (uczenica seminarium naucz.) i Miriam (gimnazjalistka), potem jeszcze innych uczennic gimnazjum, Lejli Bajraszewskiej i Tamary Bielak. Wykonywano skecze i składanki, przyspiewki wiejskie, deklamowano wiersze i śpiewano w jęz. polskim, czasem innym.

Korzystając z parokrotnego przyjazdu do Slonima Tatarów kazańskiego Kemberowa – także pieśni i tańce tatarskie. Pod jego kierownictwem pokazano obrazek sceniczny „Epipi” (wesele na Powołżu). Narzeczonego tańczyła wysoka i postawna Kebira Wilkanowicz (niestety, już nie żyje), a narzeczoną – jej sąsiadka z ul. Tatarskiej Elmira Szehidewicz (wywieziona do Rosji, dziś w Anglii). Tło muzyczne stanowił chór żeński.

Na występy córek i wnuczek z drżeniem serca i prawdziwym wzruszeniem patrzyli rodzice i całe klany rodzinne. Patrzyli z troską i napięciem, oceniali ich wiek, wysiłek i walkę z tremą. A gdy któryś z siedzących przed nimi maluchów odważył się kręcić lub wstać z miejsca i przesłonił sobą ich ukochaną wnuczkę na scenie, to wołali pełni oburzenia i przejęcia „Siadź! Kab ty sidzieu!”

A występy... Do historii przeszedł jednorazowy występ małej Heli Radkiewicz, która z wielkim butem wyszła na scenę i odśpiewała „Miała baba koguta” Mimo wielkiego aplauzu nie chciała bisować.

Albo Hela i Marysia Bajraszewskie (mieszkające za koszarami), które pięknie zaśpiewały w jęz. białoruskim żartobliwy duet panny i kawalera – „Siemion, Siemion, ty moj kachany”. Albo występ Farydy Bajraszewskiej, po mężu Miśkiewicz, późniejszej mamy dra Aleksandra Miśkiewicza – w zbiorowym numerze o wybrednej i zachłannej na prezenty pannie „Pokłoń się, Hanko, i ładnie prosz”. Dziś powiedzielibyśmy – amatorszczyzna. Naturalnie, ale ile wysiłku i dobrych chęci wymagały próby, starania o kostiumy sceniczne, często z papieru, a ile czasu na to poświęcano! A wszystko dla tej fali ciepła i wzruszenia idącej z widowni.

Z własnym repertuarem młodzież słonimska wyjeżdżała czasem na tournée artystyczne (Nowogródek, Lachowicze). Zdarzały się również kontakty z bardzo odległym w tym czasie światem muzułmańskim (Bułgaria, Jugosławia, Turcja). Ale to było rzadko i przyjeżdżały pojedyncze osoby.

7 grudnia 1936 r. przyjechała do Słonima na Bajram artystycznie uzdolniona grupa starszej młodzieży tureckiej i tatarskiej z rumuńskiej Dobrudży (przed II wojną cała Dobrudża należała do Rumunii) i dała piękny koncert w największej sali w mieście. Zaprezentowano nam tańce i piosenki krymskich Tatarów i Turków. Grały instrumenty ludowe, śpiewano i tańczono. Ale w mojej jedenastoletniej pamięci zachował się tylko charakterystyczny „Taniec czabana”, czyli pasterza owiec. Sam

jego strój przyciągał uwagę. Ubrany był w stożkową czapę baranią, barani serdak, a na nogach miał kierpce odmienne od naszych, góralskich. Miały długie rzemienne paski, które ciasno opasywały jego lydki. Długi pastuszy kij położył sobie na ramiona i ciasno oplótłszy go rękami opisywał pastuszą dolę.

Był to dla nas pierwszy kontakt z autentycznym folklorem przodków. Wywarł ogromne wrażenie, zapoczątkował ożywioną korespondencję i zaowocował pięknym wydarzeniem. Z młodzieżą dobrudzańską przyjechało paru bardziej dojrzałych opiekunów i z nimi właśnie, dzięki sympatii z obu stron i doskonalej francuszczyźnie, nawiązano długo trwającą korespondencję. Oni interesowali się statusem muzułmańskich kobiet w katolickim kraju, my ciekawiliśmy się życiem religijnym i kulturalnym dużej enklawy muzułmanów w Rumunii. Korespondencję prowadziła wspomniana już wcześniej Anserianna Smolska, której cała rodzina była mocno zaangażowana w religijne i kulturalne życie parafii słonimskiej. Myślano u nas perspektywicznie – a nuż kiedyś będziemy mieć muzyka w gminie i sami zaśpiewamy po tatarsku – i aby poszerzyć repertuar przyszłych słonimskich amatorów poproszono Dobrudżan o teksty i nuty tatarskich piosenek. I oni je nam przysłali.

Maria Radecka

Andrzej Saramowicz

## Sufi w kruszyniańskim meczecie

1 sierpnia 2009 r. *Rzeczpospolita* podała niecodzienną informację: *Muzułmanie z mistycznego nurtu islamu będą uczestniczyć w tygodniowym spotkaniu na Podlasiu. Zlot rozpocznie się w sobotę. – Będzie nas 45 osób, głównie z Europy: Anglii, Niemiec, Francji, ale też z Indii, Pakistanu. Będziemy medytować, modlić się, wymieniać doświadczenia – mówi „Rz” Andrzej Saramowicz ze Szkoły Nauk Sufich, jeden z organizatorów. Muzułmanie związani ze Szkołą Nauk Sufich spotykają się raz do roku w innej części świata. W tym roku wybrali Kruszyniany, czyli centrum Tatarów, gdzie znajduje się jeden z trzech polskich meczetów.*

Następnego dnia w Kruszynianach, niedaleko meczetu, zatrzymał się autobus. Po chwili barwny tłum z bagażami skierował się do hotelu, a część udała się do pokoju w gospodarstwie Dżennety Bogdanowicz. Goście byli w komplecie.

### Meczet powraca do życia

Jeszcze tego samego dnia w meczecie rozległ się azan, po którym odprawiono wieczorną modlitwę. Meczet obudził się ze swego długiego letargu: zamiast regularnych odwiedzin turystów, tym razem przez siedem kolejnych dni przebywać w nim muzułmanie, aby pięć razy dziennie wykonywać swoje modlitwy.

Goście szybko zaklimatyzowali się w nowych warunkach. Drewniany meczet wzbudził spore zaciekawienie. Zgodnie uznano go za niezwykle

i unikalną konstrukcję. Biorąc pod uwagę miejsca, z których pochodzili uczestnicy spotkania i niezwykle meczety, jakie już wcześniej widzieli, jako gospodarze przyjęliśmy te mile słowa z zadowoleniem. Duże zainteresowanie wzbudził również pobliski mizar. Z uwagą słuchano Dżemila Gembickiego, przewodnika, który ciekawie opowiadał historię



Uczestnicy spotkania przed kruszyniańskim meczetem

osadnictwa Tatarów na ziemiach polskich.

### Kruszyniany – miejscem spotkań

Kruszyniany okazały się doskonałym miejscem na spotkanie. Spokojnym, odległym od wielkich aglomeracji, otoczonym piękną przyrodą i posiadającym swoisty klimat. W poprzednich latach odosobnienia Szkoły Nauk Sufich odbywały się w Indiach, Hiszpanii, Turcji, Malezji, Wielkiej Brytanii, Australii, Nowej Zelandii i kilku innych miejscach. Zjazd w Kruszyńnianach był pierwszym, międzynarodowym spotkaniem sufich w naszym kraju. Jako polscy sufi obecni na spotkaniu (i muzułmanie konwertyci), jesteśmy szczęśliwi, że takie spotkanie mogło się odbyć w historycznej wiosce, w meczecie tatarskim, dzięki czemu poczulimy więź z naszymi braćmi, Tatarami i ich 600-letnią tradycją i obecnością na ziemiach polskich.

Dwa dni po naszym przybyciu do Kruszyńnian przyjechali redaktorzy z Radia Wnet, aby utrwalić nasz pobyt na taśmie. Na uwagę zasługuje film zrobiony nocą w meczecie, w trakcie sufickiej medytacji.

#### Zikr i murakaba

Każdej nocy, czas między modlitwą isza i fadžr jest najbardziej intensywnym momentem sufickich praktyk.

*A nocą czuwaj na modlitwie, to będzie dla ciebie zasługa dobrowolna; być może, twój Pan pošle cię na miejsce chwalebne.* Quran 17:79.

Po modlitwie tahadżdżud sufi wykonują zikr (wspominanie Boga), czyli intonację *la illaha illallah*.

*Ci, którzy uwierzyli i których serca się uspokajają przez wspomnianie Boga - o tak! przez wspomnianie Boga uspokajają się ich serca!* Quran 13:28.

Sufi naszego bractwa Nakszbandijja wykonują ten zikr milcząco, co stanowi wyjątek spośród wielu innych sufickich tańk. Po zikrze nadal siedzimy wykonując murakabę, czyli medytację. Murakaba oznacza dosłownie „troskliwe czuwanie.” Polega to na kierowaniu swej uwagi ku sercu, ale nie chodzi tu o fizyczne serce, ale te duchowe. Sufi uważają, że poprzez kierowanie uwagi ku sercu, w połączeniu z odpowiednią intencją, pozwalamy na spłynięcie do serca światła i błogosławieństwa Bożego. Serce, jak powiadają sufi, należy stale polerować z rdzy, która go pokrywa. Tylko czyste serce może odbijać w pełni światło Boga.

Poświęcanie praktykom dużej części nocy, jak czynią to sufi, wydaje się wielu osobom, zwłaszcza przyzwyczajonym do długiego spania, nieszczerólnie ciekawą propozycją. „Śpij mniej, mów mniej, jedz mniej” – to znana rada mistrzów sufickich z Indii. O ile dwie pierwsze udawało się zrealizować, z tą ostatnią było trochę trudniej, biorąc pod uwagę fakt, że wszystkie obiady spożywałyśmy w „Tatarskiej Jurcie” Dżennety Bogdanowicz!

#### Spotkanie z imamem

Oprócz wizyty w Białowieży i zwiedzania unikatowego pierwotnego lasu w Puszczy Białowieskiej, nasi mię-



*Sufi w białostockim Domu Modlitwy  
(w centrum nasz imam Stefan Mustafa Jasiński, po lewej muezin Józef Jasiński)*

dzynarodowi goście pojechali na piątkową modlitwę do meczetu w Białymstoku. Kazanie i modlitwę prowadził imam Mustafa Stefan Jasiński. Mimo, że nasi suficy przyjaciele nie znali polskiego, po modlitwie wszyscy wydawali się być głęboko poruszeni i poculi od imama wiele „baraki”. Nie obeszło się też bez wielu komplementów pod adresem imama Jasińskiego. Na pamiątkę zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie. Imam, jak się okazało, też przyniósł swój aparat, jako że poprzedniego dnia uprzedziłem go o większej ilości wiernych szykujących się do meczetu na modlitwę. Niech Bóg obdarzy tego, tak wspaniałego człowieka, zdrowiem i długim życiem. Amen.

#### Wizyta „oficjalna”

W środku naszego pobytu mieliśmy kolejną wizytę, ale tym razem nie z mediów, ale odwiedziny dwóch urzędników służby granicznej. Czyżby chcieli się z nami modlić, czy medytować? Nie! Jesteśmy w strefie przygranicznej! Zakłopotanie, bo muszę zebrać od wszystkich paszporty i wyjaśnić, że nie jesteśmy posądzeni o terroryzm, a kontrola paszportu to zwykła rutyna w tej okolicy. Na szczęście nasi sufi okazali zrozumienie, a żołnierze odeszli zadowoleni, z poczuciem spełnionego obowiązku.

#### Śladem sufich

Dokładnie tydzień po przyjeździe nadszedł czas na pożegnanie. Nasz barwny tłum znalazł się ponownie w autokarze, który zabrał wszystkich na warszawskie Okęcie. Żegnamy Kruszyńniany, ale pozostawiamy w meczecie barakę, modlitwy i nadzieje, że pewnego dnia w meczecie azan rozbrzmiewać będzie pięć razy dziennie, tak jak brzmiał podczas wizyty sufich.

Sześć miesięcy po międzynarodowej wizycie sufich w Kruszyńnianach, meczet odwiedził niecodzienny gość: Karol, książę Walii, przyszły król Anglii. Znany jest z wielkiej przychylności do islamu i muzułmanów. Przyjaciół sufi z Anglii na wieść, że książę Karol, spośród setek innych miejsc, jakie mógł odwiedzić w Polsce, wybrał właśnie Kruszyńniany, wysnuł refleksję, że być może książę kierował się „zapachem słodkiej baraki,” jaką w tamtejszym meczecie pozostawili za sobą sufi pół roku wcześniej.

*Andrzej Saramowicz*

## Agnieszka Szyszko

W jednym suwalskim domu mieszkali Żyd, Rosjanin-starobrzędowiec, Litwin, Tatar, Cygan i Polak. Każdy przyszedł tu w poszukiwaniu lepszego jutra. Przyniesli swoje Święte Księgi, słowa wypowiedane w różnych językach i obyczaje. Nie zawsze żyli razem, bo „Żydzi mieli swoje, myśmy mieli swoje”, ale każdy coś o osobie wiedział, ponieważ codziennie obcował z „innym”. Takiej wielokulturowej Suwalszczyzny już prawie nie ma, choć nadal. Jesteśmy unikalnym regionem w Polsce. Dlatego warto poznać, zrozumieć i szanować innego - taka była idea dialogu kulturowego w suwalskim Zespole Szkół Technicznych.

## Menora, pieriekaczewnik i „kriuki”

*Pierwsi na Suwalszczyźnie byli Jaćwingowie. Wybili ich Krzyżacy, a jaćwieskie siedliska zarosła puszcza. Potem przyszli Litwini, Rosjanie, Białorusini i Polacy. Żydzi trafili do nas w XVII wieku, do Suwałk dwa wieki później. Znaleźli tu bardzo sprzyjające warunki i w 1866 roku mieszkańcy wyznania mojżeszowego stanowili już 63 procent wszystkich suwałczan.*

*W poszukiwaniu lepszego życia trafili na Suwalszczyznę także Rosjanie-starobrzędowcy, wypędzeni z Rosji. Założyli wioski Głuszyn i Budzisko-Moskale, dziś Buda Ruska. Rosjanie, chcąc osłabić rozłamowców, którzy wymówili posłuszeństwo carowi, w ślad za nimi wysłali prawosłannych. Na mapie Suwalszczyzny pojawiły się Aleksandrowsk, Mikołajewsk, Pokrowsk, Karolin. A po rozbiórce w Suwałkach zaczęło stacjonować jeszcze rosyjskie wojsko. Wśród żołnierzy byli Tatarzy, wielu z nich zostało w Suwałkach.*

*Evangelicy przyszli z Prus Wschodnich. Pierwszą parafię założyli w Chmielówce. Daty przyjścia Cyganów żaden kronikarz nie odnotował, bo Cyganie, jak wiadomo, lubili wędrować. Szkołotów sprowadził postępowy hrabia Ludwik Michał Pac. Zaś Ukraińcy w podsuwalskim Płocicznie to echo przymierza Józefa Piłsudskiego i Symona Petlury.*

*Wiek XX wyrócił tę etniczną układankę do góry nogami. W efekcie, po wielokulturowej Suwalszczyźnie zostały tylko ślady i niewielkie grupy mniejszości, których liczebność szacuje się na kilka procent ogółu mieszkańców – tego można było dowiedzieć się z wykładu Andrzeja Matusiewicza, przygotowanego dla uczniów Zespołu Szkół Technicznych. Wykład był wstępem do spotkania przedstawicieli mniejszości litewskiej, tatarskiej, starobrzędowej, żydowskiej oraz znawcy kultury cygańskiej.*

\* Duże emocje towarzyszyły minidramie dotyczącej mniejszości narodowych, jaką zaproponowali uczniom starobrzędowcy Olga i Adam Pogorzelscy, prowadzący Fundację Miasto. Uczniowie zostali przypisani do różnych ról, w których najważniejszym czynnikiem, określającym tożsamość, była religia. Wyobrażali siebie w różnych sytuacjach, podczas świąt, zabaw, krzątania dnia codziennego. W pewnym momencie jedynie „niekatolik” pozostał samotny, poza którąkolwiek z grup.

– To doświadczenie pozwoliło dobitnie odczuć, jak czują się „inni” – tłumaczyła Olga Pogorzelska.



Dżenneta Bogdanowicz z tatarskiej jurty

Olga i Adam opowiedzieli także o historii suwalskich starobrzędowców. O „kriukach”, które zastępują starobrzędowcom nuty w śpiewach religijnych, i o tym, dlaczego nie wszyscy starowiercy noszą długie brody. Pokazywali przy tym unikalne zdjęcia, między innymi z pogrzebu.

\* Bardzo atrakcyjnie wyglądało spotkanie uczniów klasy I a Technikum Budowlanego z Dżennetą Bogdanowicz, Tatarką z Kruszynian, popularyzatorką tatarskiej kultury, prowadzącą najsłynniejszą w Polsce restaurację w jurcie. Dżenneta Bogdanowicz przywiozła ze sobą tradycyjny strój kobiecy, nakrycia głowy, dywaniki do modlitwy, albumy, zdjęcia. Częstowała też tatarskimi

słodkościami. Jej zięć, Maciej Talkowski prezentował prawdziwy tatarski luk, którego wykonanie zajmuje nawet dwa lata. Dziewczęta od razu zaczęły nakładać czapki, a chłopcy przymierzali się do luku. Kiedy Tatarzy rozpoczęli opowieść o swojej historii i o islamie, zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Jesteśmy Tatarami i muzułmanami, ale naszą pierwszą Ojczyzną była Rzeczpospolita – tłumaczyła Dżenneta Bogdanowicz. – Bywa, że jesteśmy atakowani krzywdzącym zarzutem, że muzułmanie to terroryści. A terroryzm nie ma nic wspólnego z religią. Słowo islam oznacza pokój. Terroryści mogą przecież pojawić się w każdej grupie religijnej. My chcemy o tym mówić, jesteśmy otwarci, każdy może do nas przyjechać, porozmawiać o naszych zwyczajach, spróbować naszych potraw.

– W Kruszynianach są trzy tatarskie rodziny, ale jesteśmy otwarci, zapraszamy wszystkich. Powinniśmy wszyscy być dumni z tego, że mieszkamy na wielokulturowym Podlasiu, w centralnej Polsce takiego bogactwa kulturowego i religijnego nie ma. Trzeba się tym szcycić i pokazywać innym. Jedyną podlaską potrawą, zarejestrowaną jako produkt re-

gionalny, jest tatarski piekaczewnik, czyli pieczona potrawa z sześciu, bardzo cienkich warstw rozwałkowanego ciasta, przekładanych farszem – słodkim lub mięsnym i zwiniętych w rulon.

\* Kulturę żydowską próbowali przybliżyć uczniom Katarzyna Meloch i Zbigniew Siwiński, członkowie Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu oraz Jagna Kofta z warszawskiego Domu Spotkań z Historią.

– W ostatnich latach obserwujemy w Polsce pozytywny ruch społeczny w postaci porządkowania żydowskich cmentarzy – mówiła Katarzyna Meloch. – Dla mnie wzorem ekumenicznej postawy był abp Józef Życiński, to dlatego jego trumnę nieśli też rabin i imam.

Na spotkaniu w Zespole Szkół Technicznych można było również posłuchać żydowskiej muzyki w wykonaniu „Cymes Kapeli”.

\* Od Jacka Milewskiego, współzałożyciela jedynej w Polsce parafialnej szkoły romskiej w Suwałkach i znawcy cygańskiej kultury uczniowie chcieli dowiedzieć się, czym różni się nazwa Rom od słowa Cygan i jak wyglądają słynne porwania dziewcząt przed ślubem. Prośli też, żeby „powiedział coś” w języku Cyganów. Lekturą obowiązkową dla wszystkich, którzy chcieliby wiedzieć więcej o tej kulturze powinien być zbiór opowiadań Jacka Milewskiego „Dym się rozwiewa”. Jego bohaterowie to autentyczni mieszkańcy Suwałk, choć ich imiona zostały zmienione. Książka zyskała uznanie krytyków i czytelników.

– Teraz pracuję nad drugą publikacją o Cyganach. Mam nadzieję, że ukaże się jeszcze w tym roku – zdradził Jacek Milewski.

\* Robert Wiaktor, dyrektor Litewskiego Centrum Kultury Ludowej w Puńsku przyznał, że uczniowie pytani, jakie mają skojarzenia z mniejszością litewską, opowiadali o przemysłowcach i kierowcach tirów, łamiących przepisy drogowe. Młodzi ludzie wiedzieli, że najczęściej Litwinów mieszka w Puńsku, ale niewielu z nich odwiedziło tę miejscowość.

– Opowiadałem więc o tym, co jest najbliższe każdemu, czyli o rodzinie, szkole, kulturze i kościele – mówił Robert Wiaktor.

Nie wiadomo, ilu dokładnie Litwinów mieszka w Polsce. Dane z ostatniego spisu powszechnego mówią o 6 tysiącach, sami Litwini szacują swoją grupę na 10-15 tysięcy. W tym roku znowu odbędzie się spis powszechny i te liczby mogą się zmienić.

– Litwini polonizują się, przybywa małżeństw mieszanych, w których silniejszą stroną jest polska – przyznaje Wiaktor.

*Agnieszka Szyszko*

*PS. Autorką pomysłu, scenariusza i główną organizatorką Dnia Dialogu Kulturowego jest Marianna Rant-Tanajewska, nauczycielka i bibliotekarka w ZST. Współpraca: Jolanta Kosmonska, Aneta Stojanowska-Hosiłowicz, Dorota Kassa-Szoch, Aneta Kuczyńska, Janusz Krasinski.*

*Przedruk z Tygodnika Suwałskiego za zgodą Redakcji i Autorki.*

*Barbara Podolak*

## Rozrywka z udziałem zwierząt w świecie turkijskim (wybór)

### 1. Wstęp

Zawody z udziałem zwierząt nie są rzadkością w świecie turkijskim, nie zawsze jednak łatwo trafić na ich ślad. Informacje o tych, które nie cieszą się przychylnością władz nie są ze zrozumiałych względów rozpowszechniane, a te lokalnie organizowane znane są na ogół tylko miejscowym społecznościom. Wyjątkiem, co zrozumiale z uwagi na historię kultury, są rozgrywki z udziałem koni – łatwo natknąć się na nie niemal wszędzie.

Aby zaprezentować rozrywkę z udziałem zwierząt, wybrałam trzy przykłady zawodów, dobierając je tak, aby pokazać istotne między nimi różnice. Są bowiem takie starcia, w których zwierzęta uczestniczą tylko jako ważne i konieczne uzupełnienie rywalizacji pomiędzy ich właścicielami, są też takie, w których walczą one same z sobą. Ten pierwszy rodzaj walk, głównie z udziałem koni, wywodzi się ze starej tradycji ludów koczowniczych. Z kolei znany Osmanom zwyczaj organizowania bezpośrednich starć kogutów zapewne pojawił się u nich za pośrednictwem sąsiadów, jeszcze w Azji Środkowej. Największym natomiast zaskoczeniem było dla mnie odkrycie zapasów, w których biorą udział byki; nigdzie też nie natrafiłam na informacje o genezie tych zawodów.

Rozgrywki można podzielić także na czysto sportowe (najwyżej z ewentualną nagrodą dla zwycięzcy) i takie, któ-

rym towarzyszy hazard. Z tym ostatnim podziałem wiąże się następna kwestia, a mianowicie stosunek do zwierząt. Nieprzywyktemu widzowi może się wydawać, że w zawodach sportowych z udziałem koni zwierzęta te muszą być bardzo mocno poturbowane. Prawda, zdarzają się ich upadki, w tłumie mocno na siebie napierają, często muszą udźwignąć nie tylko jeźdźca, ale i dodatkowy ciężar. Jednakże są one specjalnie do tych zawodów dobierane, a następnie trenowane i odpowiednio przygotowywane do zawodów. A co najważniejsze, zwierzęta te cieszą się wielkim szacunkiem, przywiązaniem, wręcz miłością swoich właścicieli. Podczas zawodów nie dzieje im się więc większa krzywda. Inaczej być nie może - koń w tradycji ludów turkijskich zawsze przecież odgrywał niezwykle istotną rolę. Biorąc pod uwagę zaprezentowane tu trzy przykłady wydaje się, że najgorszy jest los kogutów. Mimo starań o ich dobrą kondycję, mimo nakładów ponoszonych na ich leczenie, zwierzęta te traktowane są bardzo instrumentalnie.

### 2. Konie

Różnego rodzaju zawody z udziałem koni łatwo zobaczyć prawie w każdym zakątku świata turkijskiego. Jeźdźcy po prostu ścigają się, czasem rzucają z grzbietu końskiego dzirytem, a czasem np. próbują w galopie przechwycić martwe zwierzę.



Trzecia część filmu „Rambo” dzieje się w Afganistanie, do-  
 kąd z pomocą przesładowanym przybywa główny bohater. Ma  
 on okazję obserwować zawody, którym oddają się miejscowi  
 mężczyźni. Jadący konno na wyznaczonym terenie zawodnicy  
 wrywają sobie martwego barana. Gra jest trudna i wygląda na  
 brutalną. Zaproszony do gry Rambo decyduje się wziąć w niej  
 udział (i oczywiście zwycięża).

Żeby zo-  
 baczyć takie za-  
 wody, nie trzeba  
 ryzykować wy-  
 prawy do Afga-  
 nistanu i walki  
 przeciw terrory-  
 stom. Wystarczy  
 pojechać do Kir-  
 gizji, Kazachsta-  
 nu, Uzbekistanu  
 lub do innych  
 krajów Azji  
 Środkowej, gra  
 jest bowiem sze-  
 roko popularna w całym regionie i znana pod nazwami *buzka-*  
*szi* (w Afganistanie i Tadżykistanie), *ulak*, *kupkari*, *kokpar*, *kök*  
*börü* (te nazwy w świecie turkijskim), a w języku rosyjskim jako  
*koźłodranie*. Rozgrywki przeprowadza się zwykle na okrągłym  
 placu, może to być stadion lub przestronna równina. Rozmiar  
 miejsca zależy od ilości uczestników. W grze wykorzystuje się  
 martwe ciało kozła, barana lub cielaka. Pozbawiany jest on  
 głowy, patroszony, nogi ucinane do wysokości kolan. Potem  
 hartuje się go, mocząc przez dobę w wodzie, a następnie wy-  
 pycha. Do środka wysypuje się trociny, piasek lub mokra sól  
 – wówczas jego waga może przekraczać 40 kg. Pod koniec gry  
 wypchane zwierzę często jest w strzępach. Jeśli przedwcześnie  
 zostanie całkowicie rozerwane, zawody wstrzymuje się do  
 czasu zakończenia naprawy. Za najwytrzymalsze uchodzi  
 ciało cielaka.

Zasada jest prosta: siedząc na koniu, nale-  
 ży podnieść leżący na ziemi kadłub kozła lub  
 odebrać go innemu zawodnikowi, a następnie  
 dowieźć go do wcześniej ustalonego miejsca.  
 Gra istnieje w dwóch odmianach: albo za-  
 wodnik gra tylko dla samego siebie, albo gra-  
 ją przeciwko sobie dwie drużyny. Celem jest  
 przejechanie wyznaczonego dystansu z prze-  
 chwyconym kozłem, czyli zatoczenie z nim  
 koła po obrzeżach placu i powrót do punktu  
 startu. W innej wersji należy objechać ze zwierzęciem wyty-  
 czony punkt - zatknąć w ziemię flagę albo jakiś inny element  
 (np. słup), który znajduje się na jednym końcu wyznaczonego  
 do gry pola, a następnie wrócić i trafić kozłem w wyznaczony  
 krąg, znajdujący się na drugim końcu. Krąg jest wryty bezpo-  
 średnio na ziemi lub jest to rodzaj kopca ułożonego z kamieni,  
 o ściętym wierzchołku i pustego w środku (wygląda jak mały  
 wulkan). Dla bezpieczeństwa ludzi i zwierząt konstrukcja ta  
 jest na ogół obłożona matami lub oponami.



Gra jest bardzo wyczerpująca dla jeźdźców i dla koni. Jeśli  
 grają drużyny, w trakcie rozgrywek następują zmiany zawodni-  
 ków i wierzchowców. Rywale wszelkimi sposobami starają się  
 przechwycić martwe zwierzę, więc trzeba sobie umieć dobrze ra-  
 dzić i być wytrzymałym. Trzeba mieć także siłę w rękach - górna  
 kraweźdź ścian kopca sięga powyżej końskiego brzucha, więc aby  
 wrzucić do środka ciężką tuszę, należy ją najpierw dość wysoko  
 unieść. Zanim jednak dowiezie się do celu  
 trofeum, przechodzi ono z rąk do rąk. Aby  
 je przechwycić, przeciwników i konie bije  
 się po rękach, nogach i tułowiu krótkim bi-  
 czem. Można kopać nogą, ciągnąć, szarpać,  
 a wszystko to siedząc w siodle. Zawodnicy  
 mają więc na sobie odpowiednie zabezpie-  
 czenia – jeźdźcy ubrani są na ogół grubo, na  
 głowach miewają nawet kaski i helmy (takie  
 jak w wojskach pancernych). W trakcie jaz-  
 dy jeździec jedną ręką trzyma konia za uźdę,  
 w drugiej ma kozła, bicz zatem jest chwy-  
 tany w zęby. Gracz nie może przytroczyć  
 utrzymanego zwierzęcia ani do ubrania, ani  
 do siodła, może je jedynie trzymać w ręce

lub przyciskać do siodła udem. Bywa, że dwóch zawodników je-  
 dzie przez jakiś czas obok siebie, trzymając zwierzę wspólnie, ale  
 takie sojusze wynikają z aktualnej, obopólnej potrzeby i są krótko-  
 trwale. Często, podczas uderzania innych graczy i koni biczem  
 (trzeba go wtedy wyjąć z zębów), kozioł upada zawodnikowi. Za-  
 nim w zamieszaniu, przy przepychankach i rozdawanych na lewo  
 i prawo razach znów go ktoś podniesie z ziemi i popędzi do mety,  
 może minąć długa chwila.

Upadki jeźdźców się zdarzają, ale konie nie ranią wówczas  
 jeźdźców. Są bowiem specjalnie dobierane spośród najodważ-  
 niejszych i naj-

zwinniejszych,  
 specjalnie kar-  
 mione, bardzo  
 przywiązane  
 do swojego  
 jeźdźcy. Nie  
 powinny być  
 wysokie w kłę-  
 bie – lepsze są  
 niższe, jeźdź-  
 cowi łatwiej  
 wtedy schylić  
 się i podnieść  
 leżące na zie-  
 mi zwierzę.



Specjalny trening sprawia, że zatrzymują się, gdy jeździec z nich  
 spada, natomiast pędzą pełnym galopem, gdy jeździec trzyma  
 kozła i musi uciekać goniącym. Konie te są bardzo drogie, mogą  
 osiągać cenę 15 tys. dolarów.

### 3. Zwierzęta w roli zapasników

Walczące z sobą zwierzęta to na całym świecie nic nie-  
 zwykłego. Na obszarze turkijskim najlepiej znane są walki  
 wielbłądów. Rozgrywane w miejscach odwiedzanych przez  
 turystów, malownicze z uwagi na udział dostojnie kołyszących  
 się, kolorowo przybranych zwierząt, mają swoich gorących

zwolenników. W Turcji najłatwiej się na nie natknąć na wybrzeżu Morza Egejskiego. Mniej natomiast wiadomo o walkach kogutów i byków.

### 3.1. Koguty

Zapasy kogutów znane są w wielu rejonach świata. Tradycja ta mocno zakorzeniona jest także na terytorium od Azji Wschodniej, przez Południowo-Wschodnią, Środkową, do Zachodniej. Na pochodzącej z XII w. płaskorzeźbie znajdującej się w świątyni Bayon w Angkor (Kambodża) widać dynamiczną scenę: grupka mężczyzn, nachylonych ku sobie, mocno gestykuje (zapewne stawiają zakłady), a dwaj właściciele kogutów z całej siły przytrzymują swoje ptaki, bo te aż rwą się do walki. W Azji Środkowej i Zachodniej takie zawody są bardzo popularne, dotyczy to zwłaszcza Iraku, Afganistanu, a na terenach nas interesujących – Kirgizji i Uzbekistanu, w mniejszym stopniu Kazachstanu. Osobno będzie mowa o Turcji.

Podstawowe reguły są takie same, niezależnie od kraju. Koguty dobiera się w pary wg wagi. W trakcie zapasów na placu pozostają dwaj zawodnicy, czasem także ich właściciele. Jedna walka trwa od około 10-30 min do nawet 2 godz. Jeśli się przedłuża, dzieli się ją na rundy, przerywane odpoczynkiem zawodników. Wtedy także opatruje się im rany, poi oraz schładza wodą. Przed walką właściciele umawiają się co do wysokości stawki. Zainteresowani widzowie także stawiają pieniądze, więc do remisów się raczej nie dopuszcza – gdyby zwycięstwo któregoś z ptaków nie zostało ogłoszone, pieniądze są zwracane. Sędziami są starsi mężczyźni, na ogół byli właściciele lub hodowcy kogutów. Różnice między zawodami dotyczą głównie stosunku lokalnych władz do hazardu, który jest nierozdzielnie z walkami kogutów związany.

W Kirgizji zawody rozgrywane są bez sprzeciwu władz, nawet w niewielkich miejscowościach. Miejscem jest zazwyczaj plac z widzami ulokowanymi dookoła, może być to rodzaj amfiteatru, najczęściej ziemnego, z wyłobionymi miejscami do siedzenia. Wstęp jest płatny, wejść mogą tylko mężczyźni. Ponieważ walki nie są nielegalne, odbywają się w dzień, pod gołym niebem od jesieni do późnej wiosny. Latem kogutom byłoby za gorąco – walcząc, szybko by się przegrzewały, a wtedy walki nie byłyby tak efektowne

W Uzbekistanie największe zawody mają miejsce w Taszkencie, w wielkiej hali, gdzie ptaki walczą na arenie. Rozrywka jest legalna, hazard natomiast zabroniony. Mimo to, żadna walka nie może się odbyć bez postawionych pieniędzy. Tradycja walk i zakładów o nie jest tak stara i silna, że nie można jej ot, tak łatwo wykorzystać, zwłaszcza, że walki przynoszą niektórym spore dochody. Władze uznają zatem walki kogutów za rodzaj sportu lub traktowane są one jak show. Ostatecznie prawda jest taka, że na hazard przymyka się oczy. Ponieważ urzędnicy potrafią uporczywie wizytować miejsca walk i domagać się opłat za swoją ślepotę, to tam, gdzie jest to możliwe, zawody przeprowadza się tuż za granicą - dzieje się tak np. w Dolinie Fergańskiej. W Taszkencie najczęściej walk odbywa się z okazji nauruzu, czyli święta powitania wiosny, a za najbardziej elitarnie uważa się majowe walki rozgrywane w Samarkandzie, dokąd przyjeżdżają gości z sąsiednich krajów.

W zależności od kraju, miejscowości, zamożności zainteresowanych i innych okoliczności, stawki wynoszą (w prze-



liczeniu) od paru do nawet kilkuset dolarów (bardzo wysokie zakłady charakteryzują Taszkient). Widzowie zakładają się zwykle o kilka dolarów. Na jeden zakład może się złożyć także kilku sąsiadów. Zakładów nie potwierdza się na papierze. W mniejszych miejscowościach lub tam, gdzie jest niewielu widzów, potwierdzenie może odbywać się niemal bez słów, poprzez porozumienie wzrokowe. Przy dużej ilości widzów zakłady przyjmują specjaliści prowadzący. Zapamiętują oni stawki zgłoszone ustnie przez graczy. Rozliczenie następuje po walce, nie ma pomyłek. W małych miejscowościach zakończenie walk świętuje się wspólnym jedzeniem pilawu, przygotowanego przez *aksakalów*<sup>1</sup>. W dużych miastach walki kogutów to spory biznes. Czynna 6 dni w tygodniu specjalna arena w Taszkencie mieści hotele, parkingi, sklepy i restauracje.

W Turcji na walki kogutów trafić niełatwo, są zabronione z uwagi na Światową Deklarację Praw Zwierząt. Wydaje się, że istotnym powodem zakazu są też ogromne zarobki towarzyszące temu hazardowi. Urzędnicy potrafią być wyrozumiali, jeśli się ich przekona, że zwierzętom nie dzieje się krzywda, a zawody odbywają się bez stawek pieniężnych. Ponieważ jednak zakaz obowiązuje, walki przeprowadza się w warunkach tajnych, wieczorami i nocą, w pomieszczeniach piwnicznych i opuszczonych halach przemysłowych, tylko dla wtajemniczonych widzów. Na wszelki wypadek, aby zakazowi hazardu stało się zadość, wygrane przeliczane są oficjalnie na punkty. Ilość zdobytych punktów zależy od czasu, w jakim kogut wygrał (im szybciej, tym punktów więcej) oraz od ilości i jakości dodatkowych, podnoszących widowiskowość, czynników. Punkty następnie przeliczane są na... szklanki do herbaty. Nie udało mi się ustalić, co dalej – w jakiej walucie wypłacana jest ostateczna wygrana. Bo chyba nie w herbacie... Wiele dobrych kogutów walczących w krajach Azji Środkowej pochodzi z Turcji, muszą tu być więc specjalistyczne hodowle tych ptaków. Oficjalnych informacji na ten temat nie ma, ale pośrednio można to wywnioskować, gdy np. trafia się w Internecie na zdjęcie koguta z Turcji. Właściciel nie może dokonać ptaka opisać, ale gdy dumnie swojego podopiecznego podpisuje *Pehlivan*<sup>2</sup>, wszystko staje się jasne.

Dobry kogut sporo kosztuje. Hodowane są tylko te, które przechodzą selekcję, sprawdzającą ich wytrzymałość i wojowniczość. Większość należy do rasy zwanej przez specjalistów

<sup>1</sup> *aksakal* dosł. siwa broda – tak nazywa się szanowanych członków starszyny, często są oni sędziami w zawodach.

<sup>2</sup> Zwycięzca w walce zapaśniczej.

orientalną, tzn. charakteryzuje je wyprostowana postawa, dobre upierzenie, jasne oczy, czerwony grzebień. Ptaka trzeba umiejętnie karmić, rozbudzić wrodzoną zadziorność, masować, namaszczać pióra. Nie robi tego byle kto. By hodować koguty do walki, trzeba wiedzieć, jakie egzemplarze krzyżować, jak selekcjonować najsilniejsze sztuki, trzeba sprzątać klatki i sypać dobre ziarno. Dobrze walczące koguty są tak cenione, że leczy się im nawet złamane skrzydła. Potrafią to robić świetnie oplacani specjaliści, którzy, tak jak i zawodowi hodowcy ptaków, cieszą się takim samym szacunkiem, jak znawcy koni na rynkach światowych.

A kogut? Na szczęście, w krajach turekjskich nie przywiązuje się im ostróg do nóg, ale i tak każde starcie łatwo może zakończyć się śmiercią ptaków, w trakcie każdej walki odnoszą poważne rany. W Turcji preferowany jest ciemny kolor ich upierzenia, najlepiej czarny, ponieważ na takim tle najmniej widać krew. Ptak zdolny jest do walki między 9. miesiącem a 3. rokiem życia. Jeśli przeżyje, to najczęściej jako inwalida, zwykle ślepy. Dożywa najwyżej 4–5 lat.

### 3.2. Byki

Przy granicy z Gruzją odbywa się co roku w czerwcu festiwal kultury i sztuki: *Kafkasör Kültür ve Sanat Festivali*. Kafkasör to otoczona lasami *yayla*<sup>3</sup>, położona na wys. 1250 m n.p.m., 10 km od Artvinu, wystarczająco obszerna, aby zorganizować na niej imprezę plenerową, trwającą trzy dni. W powstałym tam wówczas miasteczku namiotów panuje atmosfera pikniku, grilluje się na powietrzu, są place zabaw dla dzieci, kramy z różnościami oferują produkty spożywcze i pamiątki. Środek całego terytorium zajmuje spory plac przeznaczony na występy i zawody. Pierwszego dnia odbywają się tu konkursy recytatorskie, tańczą zespoły ludowe. Drugiego dnia napięcie wzrasta – po zespolach muzycznych na plac wchodzi zawodnicy walczący w zapasach typu *karakuak*<sup>4</sup>. Ostatni dzień przeznaczony jest na walki byków: *boda güreşleri*. Są one kulminacją, najważniejszym wydarzeniem festiwalu. Walki tych zwierząt rozgrywane są także w innych miejscach w Turcji, ale festiwal w Kafkasör wydaje się najbardziej znany.

Byki przybywają z całej okolicy, jest ich zwykle kilkadziesiąt. Są szeregowane w kategorii wg wagi i grubości karków. Następnie dobiera się je w pary i wprowadza na plac walki. Na placu jest zawsze tylko jedna para byków i kilka osób – właściciele, sędziowie oraz osoby czuwające nad bezpieczeństwem. Zachowuje się ostrożność i przestrzega prostych reguł. Jeśli zachodzi taka potrzeba, do popychania zwierząt ku walce używa się długich kijów. Bywa, że przywiązuje się im do rogów liny i ciągnie odporne, zapierające się kopytami zwierzę w kierunku rywala. Oficjalnie Turcy twierdzą, że byki nie robią ani sobie, ani publiczności żadnej krzywdy, ponieważ nie kłuje się ich i nie bije. Czasem tylko, w ferworze walki, łamią rogi. W praktyce jednak może być inaczej – wówczas rany odnoszą i byki, i ludzie.

Wprowadzone na plac zwierzęta sprawiają często wrażenie, że nie wiedzą po co przyjechały. Spiker ponagla właścicieli,

żeby ci aktywizowali podopiecznych i zachęcali do walki. Ale byki często nic sobie z tego nie robią, więc najdłuższą częścią zawodów może być oczekiwanie - na rozpoczęcie, a potem na wznowienie walki. Bywa, że dwa byki długo stoją obok siebie i nic się nie dzieje. Któryś z nich, zadziwiony sytuacją, może opuścić nagle plac, nie podjąwszy walki. Wtedy drugi zwycięża przez walkower. Zwierzęta mogą się jednak zdenerwować, gdy właściciel ręką wymachuje im pod nosem. Wtedy, zirytowane, zaczynają walczyć. Widzowie cierpliwie czekają na to długie minuty. Owszem, przytupują i gwizdzą, ale nie ze zniecierpliwienia, tylko dla zaktywizowania zwierząt. Walka kończy się sukcesem, jeśli jeden byk przegoni drugiego z placu. Kończy się także wtedy, gdy sędziowie uznają, że przynajmniej jedno zwierzę jest bez sił i ma dość. Zdarza się, że byki zaczynają walczyć dopiero poza placem, gdy przypadkowo natkną się na siebie. Natychmiast otacza je wtedy wianuszek widzów, podążających za zwierzętami wraz z rozwojem sytuacji. Niektórzy widzowie, nazbyt podekscytowani, nie zachowują należytej ostrożności. Wtedy może dojść do wypadku, jak w ubiegłym roku w Ayder, kiedy to upadający byk przygniótł nieostrożnych mężczyzn. Dlatego obok placu z walczącymi bykami zawsze czeka w pogotowiu karetka.

Na walki byków przybywają widzowie z regionów okolicznych i dalszych. Co roku widać coraz więcej turystów, paradujących w narzuconej na ramiona chuście w pomarańczowo-białą kratkę, która jest charakterystycznym dla tych zawodów gadżetem. Obecni są też oficjele: prezydenci miast i wysocy rangą urzędnicy, np. wiceminister sportu. To oni wręczają nagrody pieniężne. Właściciel zwycięskiego byka otrzymuje nagrodę pieniężną 7 razy większą, niż *pehlivan* (zwycięski zapaśnik) wcześniej rozgrywanych zapasów *karakuak*.

Skąd się wzięły walki byków? Nielatwo na to odpowiedzieć. Odbywają się one jeszcze w kilku regionach Turcji, w większo-



ści północno-wschodniej. Te rozgrywane w Kafkasör uważane są za najważniejsze. Miejscowi opowiadają, że początków tradycji należy szukać w czasach, gdy koczownicy przynosili się latem na *yayla*,

a zwierzęta walczyły o dostęp do szczególnie lubianej, tutejszej trawy (rzeczywiście są tu rzadkie gatunki roślin). Jest to jednak wyjaśnienie z gatunku etymologii ludowej. Wydaje się, że zwyczaj ten przybył z zachodu, z Europy. Podobne walki odbywają się bowiem we Francji (Haute-Savoie), Szwajcarii (kanton Valais) i we Włoszech (Dolina Aosty). Muszą być także znane w Armenii, o czym dowiedziałam się pośrednio, czytając w Internecie wiadomości ze świata. Gdy dziesięć lat temu Ormiański Kościół Apostolski obchodził 1700-lecie istnienia, z okazji jubileuszu władze w Erywanii najwyraźniej zezwoliły na zorganizowanie walki byków. Mało kto by się o tym dowiedział,

<sup>3</sup> Górska hala.

<sup>4</sup> O zapasach w świecie turekjskim będzie mowa w następnym artykule.

## Lata pełne cierpień (Wspomnienia *Vasfije Ibrahim*)

Nazywam się Vasfije Ibrahim. Urodziłam się w roku 1928 we wsi Adymczokrak, w rejonie kujbyszewskim. Mój ojciec, Ibrahim Efendi, syn Hadżiego Halila Efendiego, był absolwentem medresy Zindżirli. Życie moje, jak i życie tysięcy Tatarów krymskich, było pełne cierpień.

Był rok 1943. Miałam 15 lat. Wszystkich młodych mężczyzn z naszej wsi, a nawet wszystkich mężczyzn mogących w ogóle utrzymać broń w ręku, zabrali na wojnę albo Rosjanie, albo Niemcy. Na wojnę przeciwko komu? Po co prowadzono tę wojnę?

Mojego ojca nie zabrali, bo był chory. W naszym domu zamieszkało kilka kobiet z sąsiedztwa, gdyż w ich domach nie został ani jeden mężczyzna. O świcie Niemcy zabierali do ciężkiej pracy mojego ojca, innych mężczyzn, którzy z jakiegoś powodu zostali we wsi, wszystkie kobiety bez względu na wiek, a nawet takie dorastające dzieci, jak ja. Nie pamiętam już, ile ludzi umarło z rąk Niemców... Jakby mało było tego, co Niemcy robili nam w dzień, nocami schodzili z gór partyzanci i zabierali nam ostatnie kawałki suchego chleba, którego nawet dla nas nie starczało. A jeśli ktoś się sprzeciwił, palili mu dom i uciekali z powrotem w góry. We wsi panował strach. Kiedy partyzanci przychodzili do naszego domu, ja i mój 10-letni brat mocno wtulaliśmy się w mamę, wierząc, że nas ochroni. Kiedy widzieliśmy, że mama płacze, to i my zaczęliśmy płakać. A mój biedny tatuś czuł się strasznie bezsilny... Całymi godzinami chodził jak obłąkany od ściany do ściany.

Nadszedł rok 1944, kończyła się zima. Właśnie wtedy Niemcy wycofali się z naszej wsi. Do domów zaczęli powracać mężczyźni. 17 maja przed naszymi domami przejechały posępne ciężarówki. Zastanawialiśmy się, po co one tutaj przyjechały. Do każdego domu przysłali po jednym żołnierzu. Ponieważ mój wuj Nafe został tego dnia zabrany przez Rosjan do roboczej brygady, jego żona przysłała z dwójką dzieci, aby u nas przenocować, a pozostałą trójkę dzieci zostawiła w domu. Żołnierz, który miał wartę w naszym domu, chyba poczuł litość, bo zaczął ją usilnie namawiać, żeby poszła do swojego domu, do dzieci. Ale nie powiedział, dlaczego powinna tam pójść. Nie mieliśmy wtedy pojęcia, dlaczego tak ją namawia. A przecież to była czarna noc narodu Tatarów krymskich. Nigdy nie zapominałam tej nocy. I nie zapomnę do dnia, gdy mnie włożą do czarnej ziemi...

Zaczynało świtać. Na zewnątrz słychać było jakieś odgłosy, nikt nie spał, wszyscy byli bardzo niespokojni. Nagle rozległo się gwałtowne łomotanie w drzwi. Otworzył je mój ojciec. Żołnierze odepchnęli go bez słowa i weszli. Zaczęli na nas wrzeszczeć, przeklinać, miotali się po domu jak wściekłe psy. Zabrali 45 rubli, które mieliśmy schowane w Koranie, pozabierali też wszystko, co im wpadło w oko. Mój brat miał nowe buty. Wyrzucili je przez okno mówiąc, że są na nas za małe. Wtedy ze strachu porwałam do ręki

pudeleczek, w którym trzymałam swój ulubiony niebieski naszyjnik. Jeden z żołnierzy uderzył mnie w twarz i wyrwał mi z rąk pudełko. Mama i ciocia podeszły do mnie, objęłyśmy się i zaczęłyśmy płakać. Dzieci też do nas przyszły i wszyscy płakaliśmy. Mój biedny ojciec nie wiedział co począć. Wtedy żołnierze wrzasnęli: „Macie piętnaście minut na przygotowanie się, potem macie stać przed drzwiami!” Popychali nas kolbami karabinów, żebyśmy się pośpieszyli. Spakowałam do worka, co mi wpadło w ręce, a jeden z żołnierzy rozciął worek nożem i wszystko się rozsypało. Wtedy w pośpiechu założyłam na siebie trzy czy cztery sukienki. Zanim zdążyliśmy cokolwiek zabrać, wypchnęli nas z domu krzyżąc, że nasz czas już minął. Gdy byliśmy wyprowadzani, na placu wiejskim zebrano już mieszkańców górnej części wsi. Ludzie przypominali stado owiec. Płaczące kobiety i dzieci, bezsilni mężczyźni... Kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie. Nie życzyłabym tego nawet wrogowi.

Podjechały ciężarówki. Mój ojciec podszedł do dowódcy i poprosił o pozwolenie udania się do domu, gdyż niczego nie zdążyliśmy zabrać. Kiedy ładowali nas na samochód, ojciec przyszedł z bochenkiem chleba, niewielką ilością mąki i tłuszczu. Samochód ruszył. Pośród placzu dotarliśmy do Albat.

Był tam z nami Seyitveli, syn Beliszy Agi. Ponieważ zasłużył się w sowieckim wojsku podczas wojny, miał stopień oficerski. Zeskoczył z ciężarówki i próbował tłumaczyć żołnierzom, że niesłusznie nas tak traktują. Na to żołnierze oderwali mu pagony, odebrali pas z pistoletem i wepchnęli na ciężarówkę. Zgromadzili nas wszystkich na stadionie Bahczesaraj, a potem poprowadzili w stronę stacji kolejowej. W tłumie zaczęły krążyć różne pogłoski. Jedni mówili, że zostaniemy wszyscy zabici, inni – że udajemy się do pracy, jeszcze inni – że zostaniemy wywiezieni na zesłanie. Każdy coś mówił, ale nikt nie wiedział, dokąd się udajemy. Rosyjscy żołnierze nie traktowali nas jak ludzi, tylko jak jakieś szkodliwe stwory z innej planety. Klęli na nas tak, że nie da się powtórzyć. Na stacji zobaczyliśmy mnóstwo ludzi z innych wiosek. W swoim dziecięcym umyśle przywoływałam na pamięć obrazy końca świata, jakie opisywał nam wiejski mulla. I pomyślałam sobie, że to właśnie koniec świata, bo było tak, jak opowiadał mulla. Każdy martwił się o siebie, a żołnierze wydawali mi się strażnikami piekiel. I tylko przeszło mi przez myśl, jakie grzechy mogą mieć te maleństwa w powijkach, ale zaraz zaczęłam modlić się do Boga, żeby mi wybaczył takie myśli.

Nadjechał pociąg i zatrzymał się przed nami. Po zapachu można było poznać, że wcześniej w tych wagonach przewożono bydło i mazot. Wepchnęli mój nieszczęsny naród do tych wagonów popychając i szturchając, upchali nas jak śledzie. W wagonach, do których wsiedli ludzie z naszej wioski, nie było już ani skrawka wolnego miejsca,

dlatego naszą rodzinę wsadzono do innego wagonu razem z mieszkańcami wsi Kalymtaj i Topczukioj. Nie było nawet gdzie nogi postawić. Gdy już wszyscy wsiedli, żołnierze zamknęły wagony. Zrobiło się tak ciemno, że nie mogliśmy poznać się po twarzach. Nie puszczałam ręki mamy. Mój brat był koło ojca, a nasza ciocia z dziećmi – w środku między nami. Wagon był tak przepelniony, że nie wszyscy mogli usiąść, dlatego ci, co mieli więcej sił, musieli na zmianę stać. Zesztywniały nam nogi, opadliśmy z sił, a głód odbierał nam zmysły. Swoje potrzeby załatwialiśmy w kącie wagonu, do którego przechodziliśmy depcząc po sobie nawzajem. Już nikt się nikogo nie wstydził. Straciłam rachubę, ilu spośród nas umarło. I dotąd się dziwię, jak to się stało, że nie zwariowałam wśród tego placzu, jęku i obrzydliwego zapachu.

Nie mam pojęcia, jak długo jechaliśmy bez postoju: dwa dni, może trzy? Kiedy już straciliśmy poczucie czasu, pociąg stanął. Otwarto drzwi wagonu, a my pomyśleliśmy, że podróż się skończyła. Ale wcale się nie skończyła...! Żołnierze otworzyli wagony i powiedzieli, że teraz będziemy gotować jedzenie, a jeśli nie wrócimy na czas do pociągu, to tu zostaniemy.

Biedni ludzie...! Jedni zaczęli grzebać swoich zmarłych, inni próbowali ugotować na kamieniach strawę ze żdźbel. Kto zdąży to zdąży, a kto nie zdąży, zostanie w tych górach na zawsze. Rodzice potracili dzieci. Nie pochowali swoich niewinnych małości, zostawiając je na pastwę wilków, dzikiego ptactwa. Podróż trwała długie dni. W naszym wagonie zrobiło się stosunkowo luźno, bo wiele osób zmarło lub zostało gdzieś w drodze. Ludzie byli zawsze głodni, gryzła nas robactwo. Gdy ta okrutna podróż dobiegła końca, wysadzili nas w Samarkandzie, w Uzbekistanie. Ale nasze winy nie zostały jeszcze zmasowane, bo tutaj zaczęto nowe tortury.

Najpierw zaprowadzono nas do łaźni, żebyśmy się umyli, a w nocy zawieziono do kopalni węgla Putnik-Kajtasz, gdzie mieliśmy pracować. Zostaliśmy tam przez tydzień, śpiąc w wykopanym w ziemi nieprzykrytym dole. Potem zawieźli nas na plantację marchwi. Tam dostaliśmy dziesięć metrów brezentu i dwa żelazne pręty, abyśmy postawili sobie namiot. Przez pierwsze dni Uzbegy trzymali się od nas z daleka, uciekali przed nami, jakbyśmy byli zadżumieni. Mieszkaliśmy w namiocie, pracowaliśmy i zarabialiśmy pieniądze, a równocześnie staraliśmy się budować dom. Władze dały nam na budowę 2500 *giumiusz* kredytu, a potem odebrały 5000. Nasz dom stanął w dwa miesiące, ale ponieważ dach był z ziemi, całą zimę spędziliśmy w wodzie. Miejsca do siedzenia też zrobiliśmy z ziemi. Ja dostałam robocze ubranie. W ciągu dnia nosiłam to ubranie, a w nocy służyło nam za posłanie. W czasie kiedy trwała budowa tego domu, nasza ciocia, która przyjechała z nami z Krymu dowiedziała się, że pozostała trójka jej dzieci znajduje się we wsi Bajaut w rejonie Sir-i Deria. Pojechała tam, odnalazła teściową z dziećmi i przywiozła. Zabrało jej to dwa tygodnie. Ale wróciła w jeszcze gorszym stanie ducha, bo po drodze najpierw zmarł w pociągu jej 12-letni

syn, a potem teściowa. Niedługo potem zmarł jej syn Fevzi. Było to pod koniec lata. Chodziliśmy po kryjomu na pole i szukaliśmy pozostawionych kłosów jęczmienia, żeby było co zjeść. Pewnego dnia syn ciotki Hikmet poszedł z kolegami na pole szukać resztek zboża. Chcieli nazbierać do torby pojedynczych kosów. Gdy zobaczyli nadjeżdżającego na koniu strażnika, zaczęli uciekać. Konny dogonił Hikmeta i powalił go na ziemię przy pomocy końskich kopyt. Tylko za to, że chciał nazbierać sobie resztek jęczmienia, dzieciak został zakatowany nahajką na śmierć. Kiedy jeszcze rozchorowała się i umarła Halide, ciotce zostało tylko jedno, ostatecznie z pięciorga dzieci – córka Halife...

W tej miejscowości gdzie mieszkaliśmy, co miesiąc musieliśmy udać się do urzędu i podpisać się w specjalnym zeszycie, w którym zapisane były nasze imiona. Jeśli ktoś bez zezwolenia oddalił się z tego miejsca albo nie złożył podpisu, czekało go zesłanie na Syberię na 20-25 lat. Ze strachu chodziliśmy więc co miesiąc podpisać się w zeszycie. Jeśli ktoś w razie choroby musiał iść do szpitala, najpierw przez tydzień usiłował załatwić sobie urlop. Życie na tej pustyni było dla nas – Tatarów krymskich – bardzo ciężkie. Tęskniliśmy za winnicami i ogrodami Krymu, za kamieniami, górami, białą ziemią i wodami Krymu. Każdego dnia śpiewaliśmy krymskie pieśni. Jeśli się zdarzyło, że trafiła w nasze ręce butelka wody z Krymu, wszyscy – młodzi, starzy, dzieci – zbiegaliśmy się tak, jakby to była woda ze źródła Zemzem, piliśmy po łyku, żeby dla wszystkich starczyło i płakaliśmy...

I po tym wszystkim powiedziano nam, że jesteśmy uniewinnieni. Tak jakbyśmy wcześniej byli winni! W 1977 roku wróciliśmy na Krym, ale nas nie wpuszczono. Po wielkiej batalii w końcu znaleźliśmy się na Krymie jako jedna z tych szczęśliwych rodzin, którym się to udało. Ta ojczyzna wciąż była naszą ojczyzną – ziemią Tatarów krymskich, jednak ludzie byli inni. Przybyliśmy do naszego domu. Stał tak, jak go zostawiliśmy, ale mieszkała w nim rosyjska rodzina, więc tylko z daleko popatrzyliśmy. Nasz meczet został zburzony, a strumienie – tak jakby się obraziły na to, że Tatarzy stąd odeszli – wyschły... Przez sześć lat nie mogliśmy dostać pozwolenia na pobyt na Krymie, w naszej ojczyźnie. Zburzyli dom, który wybudowaliśmy. Postawiliśmy go od nowa. Znowu zburzyli, a my na nowo zbudowaliśmy. Odcięli nam prąd i długie miesiące żyliśmy bez elektryczności. Bili nas, niszczyli. Ale co tam! Przecież mieszkaliśmy na ojczystej ziemi!

Kiedy dziś patrzę wstecz na tamte lata, stwierdzam, że jest nam lepiej. Bogu niech będą dzięki za to, że dożyliśmy tych czasów.

*Emel Dergisi*, nr 208 (1995)

[za:] <http://www.emelvakfi.org/surgun/>

*Z tureckiego przetłumaczyła Grażyna Zajac*

■

*Selim Chazbijewicz*

## Mustafa Dżemilew jako przywódca ruchu narodowego Tatarów krymskich (I)

Współczesność jawi się jako rzeczywistość polityczna, w której zanikają tradycyjne modele przywództwa. Model charyzmatycznego przywódcy, coraz częściej zastępowany jest modelem kompetentnego urzędnika. Męża stanu zastępuje specjalista. Jednakże oprócz wysoko wyspecjalizowa-

tycznych, charyzmatycznych przywódców i bohaterów małych narodów należy niewątpliwie Mustafę Dżemilew, lider ruchu narodowego krymskich Tatarów. Urodził się w roku 1943, koło Sudaku, na południu Krymu. Miał niespełna rok w chwili deportacji - najbardziej traumatycznym momencie



*Obrady Kurultaju, rok 2007, drugi od lewej – Mustafa Dżemilew*

nych urzędników UE w Brukseli, w Europie i na świecie funkcjonuje również i dawny model charyzmatycznego przywódcy, lidera prowadzącego swój naród do zwycięstwa. Ma on oczywiście dwa oblicza. Jednym jest dyktatorska rola takich współczesnych szefów państw, jak Hugo Chavez, Fidel Castro, Muammar Kaddafi, gdzie rola charyzmatycznego wodza została niejako „zadekretowana” przez panujący reżym, na czele którego stoją. Drugim zaś – autentycznych charyzmatycznych dla „swoich ludzi” i swojego narodu. Takimi byli np. Ibrahim Rugova, przywódca Albańczyków w Kosowie, Alija Izetbegowicz, przywódca Bośniaków i pierwszy prezydent Bośni i Hercegowiny, Dżohar Dudajew, pierwszy prezydent i przywódca Czeczenii. Taką rolę pełnił pomimo wszelkich błędów Jasir Arafat, czy też w latach osiemdziesiątych Lech Wałęsa oraz Vaclav Havel w Czechach.

Zwróćmy uwagę, że są to przywódcy narodów małych i małych państw. Havel i Wałęsa byli wyjątkami wynikającymi z transformacji społeczno-ustrojowej państw Europy Środkowo-Wschodniej. W państwach dużych i wielkich istnieją coraz silniejsze tendencje do rządów technokratycznych, a nie charyzmatycznych. Jest jeszcze trzecia subkategoria przywódców pochodzących z demokratycznego wyboru, jednakże mających duży kredyt zaufania większości wyborców, co nie daje im statusu charyzmatycznych przywódców. Takimi są Silvio Berlusconi, Jose Luis Zapatero, czy na początku swojej kadencji Donald Tusk. Do kategorii auten-

tycznych, charyzmatycznych przywódców i bohaterów małych narodów należy niewątpliwie Mustafę Dżemilew, lider ruchu narodowego krymskich Tatarów. Urodził się w roku 1943, koło Sudaku, na południu Krymu. Miał niespełna rok w chwili deportacji - najbardziej traumatycznym momencie

tycznych, charyzmatycznych przywódców i bohaterów małych narodów należy niewątpliwie Mustafę Dżemilew, lider ruchu narodowego krymskich Tatarów. Urodził się w roku 1943, koło Sudaku, na południu Krymu. Miał niespełna rok w chwili deportacji - najbardziej traumatycznym momencie

tycznych, charyzmatycznych przywódców i bohaterów małych narodów należy niewątpliwie Mustafę Dżemilew, lider ruchu narodowego krymskich Tatarów. Urodził się w roku 1943, koło Sudaku, na południu Krymu. Miał niespełna rok w chwili deportacji - najbardziej traumatycznym momencie

<sup>1</sup> Ludmila Aleksiejewa, Walka Tatarów krymskich o powrót na Krym, ABC (Adriatyk, Bałtyk, M. Czarne), nr 6, 1988.

wie partii komunistycznej. Oni to już w roku 1956 podpisali petycję do władz najwyższych Związku Sowieckiego i wysłali do Moskwy delegację, mającą dowodzić niesłuszności wyroku Stalina i Berii na naród tatarski Krymu<sup>2</sup>. W roku 1957 powstały pierwsze tzw. grupy inicjatywne. Niebawem grupy te funkcjonowały praktycznie we wszystkich miejscach zesłania i przymusowego osiedlenia krymskich Tatarów. Były one dobrowolne, zupełnie nieformalne, liczące od kilku do kilkudziesięciu osób, bez hierarchii i bez wewnętrznych struktur organizacyjnych, często organizowane na użytek jednej akcji. Opierały się na zasadzie pokrewieństwa lub towarzyskiej, sąsiedzkiej. Miały na celu różne formy samopomocy społecznej, a także organizowanie działalności politycznej skierowanej na uzyskanie zgody lub jej wymuszenie od władz na powrót na Krym.

Grupy te działały bardzo sprawnie, a ponieważ nie miały żadnej struktury ani organizacji formalnej, były trudne do wykrycia dla KGB. Trudne były również do przeniknięcia celem inwigilacji, gdyż opierały się na relacjach krewniczych i sąsiedzkich. Od początku ruch tatarski opierał się na tych nieformalnych grupach inicjatywnych, od początku też jego działalność przybrała formy obywatelskiego nieposłuszeństwa. Jedną z form walki KGB z tym ruchem były prowokacje wobec jego aktywnych uczestników, aresztowania za „czyny chuligańskie” lub pozornie zupełnie niezwiązane z działalnością polityczną. Były to klasyczne już dziś chwytły reżimu wobec opozycji, stosowane również współcześnie zarówno w Rosji, jak i na Białorusi oraz gdzie indziej.

Prowokacje funkcjonariuszy KGB przeciw Mustafie Dżemilewowi zwiłokrotniły się. W 1962 r. został wyrzucony z pracy w Taszkencie za rzekomy udział w „Związku Młodzieży Krymskotatarskiej”. W tym samym roku został słuchaczem inżynierskiego instytutu irygacji i mechanizacji rolnictwa. Pozostawał jednak pod obserwacją KGB. 26 marca 1965 r. zorganizowane zostało wspólne posiedzenie rektoratu i partyjno-komsomolskiego aktywu, na którym dyskutowano i opiniowano „sprawę” M. Dżemilewa. Został oskarżony o uczestnictwo w „nacjonalistycznych wiecach krymskich Tatarów”, a także o napisanie książki pt. „Kratkij istoriczeskij ocerk tiurkskoj kultury w Krymu w XIII-XVIII wiekach”, w której to wiele problemów ujął „z pozycji nacjonalizmu” wbrew linii partii w sprawach narodowościowych. Polecono mu dokonać samokrytyki i wyrzec się też zawartych w książce. W przeciwnym razie grożono wyrzuceniem z instytutu, by „nie mógł zarażać swoimi ideami innych studentów”. Dżemilew odmówił przyjęcia tych warunków, prosząc o przeniesienie na studia zaoczne. Niemniej, „sprawa” nabrała „toku”. Podczas zebrania komsomolskiego aktywu instytutu Dżemilew został oskarżony o „stoczenie się na drogę nacjonalizmu i szowinizmu” oraz o to, iż nie chciał wypełnić deklaracji członkowskiej komsomolu. 29 sierpnia 1965 r. został pobity przez milicję za próbę odczytania zebraniem krymskim Tatarom w Gulistanie listy obecnych w Moskwie przedstawicieli narodu na rozmowie z Mikojanem.

7 września został wyrzucony z instytutu z powodu „złych postępów w nauce”, zupełnie niezwiązanego z uprzednią sytuacją i zarzutami. Protesty studentów i prawnika instytutu Nikanowicza nie dały rezultatów. 29 września 1965 r. Dżemilew

został zatrzymany nocą przez patrol milicyjny, poddany rewizji osobistej i spisany. 30 września, podczas nieobecności gospodarza, nastąpiła rewizja w jego mieszkaniu, zabrano dokumenty i ukradziono pieniądze. Dżemilew poleciał z Taszkentu do Moskwy, aby złożyć skargę na działalność KGB w Uzbekistanie i na władze instytutu. Wydział studiów wyższych przy ministerstwie gospodarstwa wiejskiego ZSRR po rozpatrzeniu sprawy uznał, iż Dżemilewa wyrzucono ze studiów bezprawnie, o czym też powiadomiono rektora instytutu.

Po powrocie Dżemilewa do Taszkentu zaczęły się wobec niego dalsze prowokacje funkcjonariuszy miejscowego KGB. 31 grudnia 1965 r. wniesiono przeciw niemu fikcyjne oskarżenie na podstawie art.70, cz.1 KK USRR o uchylaniu się od służby wojskowej. Wzięto od niego podpis pod zobowiązaniem nieopuszczania miasta. Śledztwo w tej sprawie wykazało, iż wyjeżdżał do Moskwy w celu uchylenia się od obowiązku służby wojskowej. 9 stycznia w miejskim autobusie nieznanymi sprawcy podłożyli mu do kieszeni zegarek ręczny i zainscenizowali kradzież. Prowokacja nie udała się, niemniej Dżemilew został aresztowany na 15 dni za „drobne chuligaństwo”. Na koniec sprawa jego, z art.70, cz.1 KK USRR, trafiła do sądu; termin rozprawy przekładano cztery razy z powodu gromadzenia się ludzi pod gmachem miejscowego „wymiaru sprawiedliwości”. W końcu, 12 maja 1966 r. zaczął się proces.

Przesłuchania świadków i mowa obronna Dżemilewa, który zrzekł się adwokata - ukazały absurdalność zarzutów. W ostatnich słowach Dżemilew powiedział: „Funkcjonariusze KGB byli rozwścieczeni tym, że zbieraliśmy dane statystyczne o tych krymskich Tatarach, którzy zginęli na miejscu zesłania, że zbieramy materiały przeciw komendantom-sadytom, znęcającym się nad naszym narodem w czasach stalinowskich i którzy zgodnie z postanowieniami Trybunału Norymberskiego powinni stanąć przed sądem za zbrodnie przeciw ludzkości. W rezultacie przestępstwa 1944 roku utraciłem tysiące, tysiące braci i sióstr. Trzeba o tym pamiętać! Trzeba także pamiętać o krematoriach Oświęcimia i Dachau. Trzeba pamiętać, aby to nigdy się nie powtórzyło. Należy pamiętać i u podstaw zniszczyć szowinistyczną gadzinę, za podszeptem której zrodziły się te zbrodnie. Ale to komuś się nie podoba.

Mam nadzieję, że wy, wydając wyrok, będziecie się kierować tylko prawem i sprawiedliwością, zajmiecie się oceną winy bez względu na sytuację podsądnych i zamkniecie tym samym pewien rozdział oficjalnej podłości. Jeśli przejawicie strach przed przestępczymi elementami z KGB, będzie to oznaczać triumf zła, którego wizerunkiem są ci nikczemnicy”<sup>3</sup>.

Wbrew oczywistym faktom przewodu sądowego, Dżemilew został uznany winnym naruszenia art.70, cz. 1 KK USRR i zasądzony na półtora roku więzienia; z gmachu sądu był wyprowadzony przez strażników.

Również w więzieniach i miejscach odosobnienia nie ustawały prowokacje. Krótko przed wyjściem Dżemilewa na wolność, w tym samym łagrze na przedmieściach Taszkentu, skazany za udział w ruchu krymskotatarskim Lennar Tyzykow otrzymał polecenie podpisania oświadczenia, iż po wyjściu na wolność nie będzie współpracował z tatarskim ruchem narodowym. Taką też propozycję otrzymał i Dżemilew. W razie odmowy grożono przedłużeniem wyroku za „antysowiecką

<sup>2</sup> Oczerki istorii i kultury krymskich tatar, Symferopol 2005, s.79.

<sup>3</sup> Jw., s. 64.

propagandę na terenie lagru”. Więźniowie odmówili podpisania. 11 sierpnia 1967 r. zostali osadzeni w izolatkach za „antsowiecką i nacjonalistyczną propagandę”. Po wyjściu na wolność Dżemilew miał duże kłopoty z otrzymaniem pracy. Nie chciano także z powrotem immatrykulować go w instytucie inżynierskim.

Według relacji Reszata Dżemilewa, podczas przesłuchania w siedzibie KGB w charakterze świadka zająć 22 stycznia 1968 r., major tej służby Sławow oświadczył: „Mustafa nie będzie więcej uczyć się w instytucie. Dlatego, że jeśli dopuściłbym do tego, sam miałbym kłopoty ze

strony przelożonych. I w ogóle lepiej, żeby tacy jak Mustafa i Serwer (Szamratow) nie mieli wyższego wykształcenia. Trudniej nam walczyć z inteligencją niż z „czarnoraboczymi”. Tak więc niech zostaną oni ‘czarnoraboczymi’<sup>4</sup>. 27 lipca 1968 r. w mieszkaniu Dżemilewa została przeprowadzona rewizja celem znalezienia i zajęcia nielegalnej literatury i dokumentów, świadczących o dalszej działalności w ruchu krymskotatarskim, co interpretowano jako „zdradę i sprzedaż sowieckiego społeczeństwa i ustroju państwowego”. Jak wynikało z protokołu rewizji znaleziono rękopisy wierszy, które nie miały wiele wspólnego z oficjalnym oskarżeniem o „zdradę i sprzedaż”. Nie mniej nadano bieg nowej sprawie karnej.

W roku 1974 rozpoczęła się też więzienna epopeja kolejnego lidera ruchu krymskotatarskiego Mustafy Dżemilewa. Zaczęła się wspomnianym już procesem w roku 1970, poprzedzonym aresztowaniem w roku 1969. Dżemilew opuścił więzienie w roku 1972 i powrócił do Taszkientu. Został ponownie aresztowany 22 czerwca 1974 r. 19 lipca skazany wyrokiem sądu w Taszkencie na rok więzienia ogłosił głodówkę, w wyniku której przewieziono go do więzienia w Omsku. W listopadzie 1974 roku A. Sacharow i P. Grigorienko opublikowali wspólnie deklarację w obronie M. Dżemilewa. 19 czerwca 1975, trzy dni przed datą zakończenia wyroku, Dżemilew zostaje oskarżony o antysowiecką agitację w obozie pracy i przedłużono mu okres pozbawienia wolności. Odpowiedzią oskarżonego jest ogłoszenie głodówki protestacyjnej. 27 czerwca 1975 r. A. Sacharow publikuje kolejną deklarację w obronie M. Dżemilewa. Przekazuje ją sekretarzowi generalnemu ONZ Kurtowi Waldheimowi, Amnesty International, liderom narodów muzułmańskich, ogłasza międzynarodowej opinii publicznej. 1 lipca 1975 r. obrońcy praw M. Dżemilewa zwracają się do ówczesnego szefa KGB J. Andropowa o ulaskawienie.

29 listopada Rosjanin, Piotr G. i Zinaida Grigorienko publikują odezwę do światowej opinii publicznej w obronie M. Dżemile-

wa. W Nowym Jorku został zorganizowany komitet obrony Mustafy Dżemilewa. 11-12 maja 1976 r., miał miejsce kolejny proces sądowy Mustafy Dżemilewa – w Omsku. Wyrokiem sądu został

on skazany na 2,5 roku obozu pracy o zaostrożnym reżimie. Przebieg procesu obserwowali A. Sacharow, Ł. Czukowska i inni przedstawiciele demokratycznej opozycji<sup>5</sup>. Proces został on nagłośniony zarówno wśród demokratycznej opinii społecznej w Związku Sowieckim, jak i za granicą. Echa słyszalne były w prasie tureckiej, niemieckiej, amerykańskiej oraz w emigracyjnych wydawnictwach rosyjskich<sup>6</sup>.

Selim Chazbijewicz



Gdańsk, 25.11.2010 r. Mustafa Dżemilew w towarzystwie Muftiego RP Tomasza Miśkiewicz na uroczystości odsłonięcia pomnika Tatarów.

<sup>5</sup> Rosijskaja Fiedieracija protiv Mustafy Dżemilewa. Omskiej procesis. April'1976 g., AO Izdatielstwo „Stolica”, 1998, pedsłowije Remzi Ablajew,ss.90+1nlb.12 maja 1976 r., M. Dżemilew wygłosił słowo końcowe: „(...) Być może nie miało to całkowicie sensu, abym uczestniczył w tym procesie i zostawił możliwość osądzenia mnie przez was łącznie, ponieważ jestem przekonany, iż wyrok był już faktycznie wydany zanim proces się zaczął. Liczyłem się jednak z tym, że moje milczenie może być przez kogoś traktowane jako świadectwo przynajmniej do winy. Zostało mi tylko powiedzieć obecnie kilka słów o tym, co chcieli osiągnąć i czego nie osiągnął organizatorzy procesu. Głównym ich zadaniem jest oczywiście izolowanie mnie jeszcze na jakiś czas od współpracowników i tych, którzy myślą i czują podobnie, tak abym nie mógł brać udziału w tatarskim ruchu narodowym i działaniach demokratycznej opozycji. W związku z tym chciałbym nadmienić, iż w KGB zawsze przeceniano rolę jednostek. Ruch narodowy jest następstwem istnienia problemu narodowego, który powinien zostać rozstrzygnięty, a nie następstwem działania i propagandy wrogich Związkowi Sowieckiemu indywidualów, jak chcą przedstawić to organy ścigania. Dlatego nie mam wątpliwości co do tego, iż znajdzie się odpowiednia ilość ludzi, którzy zajmą moje miejsce w ruchu i będą wypełniali swój narodowy obowiązek być może lepiej ode mnie. Organom ścigania nie uda się za pomocą tej jawnej demonstracji lekceważenia zasad prawa zastraszyć narodowego ruchu. Na odwrót, mam nadzieję, że ta samowola władz władz jeszcze większą aktywność narodowego ruchu, który, w co wierzę, w końcowym rozrachunku doprowadzi do sprawiedliwego rozpatrzenia naszych narodowych postulatów”.

<sup>6</sup> Na ten temat patrz: Andriej Sacharow, Wspominania, Nju Jork, Izdatielstwo im. Czechowa, 1990 g., s. 626-632; Tenże, Triewoga i nadzieźda, Nju Jork, Izd. „Chronika”, 1978 g., s. 167-168; Lew Kopielew, Wiera i słowo. Wystąpienia i pisma 1962-1976 g., Izdatielstwo „Ardis” 1977g., s. 66-69; Szest’ dnjej. Sudiebnyj proces Ili Gabajaja i Mustafy Dżemilewa. Bielaja Kniga, Nju Jork, Crimea Foundation, 1980 g., s. 414-444; Mustafy Dżemilewa ozdajut nowyje opastnosti, (w:) Russkaja Mysl’, Pariz 21.08.1975 g.; W zaszczytu Mustafy Dżemilewa, „Chronika zaszczytu praw SSSR”, Wypusk 16, jul’- sentiabr 1975 g., Nju Jork, Izd. „Chronika”, s. 13-16; Piotr Grigoriewicz Grigorienko, Zajawlenie dla pieczti i radio, (w:) „Nowoje russkoje slowo, Nju Jork, 3.01.1976 g.; „Bjulletien’ Samizdata”, Nju Jork Nr 37, maj 1976 g., na ruskom i anglijskom jazykie; „Russkaja Mysl’” Pariz, 29.01.1976 g., s. 4-6; „Emel” nr 93, Mart – Nisan 1976, Istanbul, s. 16-21; „K mirowoj obszczestwiennosti” (Obrazczenie pisatielej Genricha Biolla, Karla Ameri, A. Galicza i dr. Beogo 14 czel, w zaszczytu M. Dżemilewa), „Russkaja Mysl’”, Pariz, 6.11.1975 g; Intierwu A. Sacharowa, „Russkaja Mysl’”, Pariz, 29.04.1976 g.; „O priesiedowanii Mustafy Dżemilewa” (w:) „Sbornik dokumentow Obszczestwiennoj grupy sodejstwiuja wypolnieniju Chelsińskich soglaszenij”, Wypusk pierwyj. Nju Jork, Izd. „Chronika-priess”, 1977, s. 8-10; Peter Reddaway, Fears of life pf dissenter, „Observer”, London, Nr 3, 1975; Lidia Chukovkaya, The fase of inhumanity, „Survey”, XXII, Nr 2, 1976 p.12; Edmund Stevens, Sacharov’s hit police who broke law, „Times”, 17.04.1976; Professor A. Sacharow berichtet uber den Prozess gegen Dżemilew, „Die Welt”, Nr 6, Mai-Yuni 1976; Sakharow a L’Express: „Aides les Tatars!”, „L’Express”, Pariz, 26 avril -2 mai 1976, p.55-56; Hermann Poerzgen, Sakharow Explains his behavior in Omsk, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, 17.04.1976; Reza Baraheni, Hugo Blanco, Leonid Plyushch, Martin Sotr, On the Persecution of a Crimean Tatar, „New York Times”, 20.12.1977. Emel nr 93, 03-04 1976, Ankara. (Cały numer dwumiesięcznika wydawanego przez Komitet Narodowy Tatarów Krymskich w Turcji poświęcony procesowi M. Dżemilewa); Emel nr 94, 05-06.1976, Ankara.

<sup>4</sup> Relacja pochodzi z pisma Reszata Dżemilewa do szefa KGB Andropowa z 14 lutego 1968, patrz: jw., s. 65.